

Radnie v S morza

Seria młodzieżowa

Przygody rodziny Cooperów:

1. Gardziel Smoka
2. Wyspa Wodnika
3. Grobowce Anaka
4. Na dnie morza

i

&20i5<?

FRANK

Ha dnie morza

Peretti

\Łc^\*^

Oficyna Wydawnicza „Vocatio” Warszawa 1994

1000001469

Tytuł oryginału: Trapped at the Bottom of the Sea

Przekład: Piotr Gillert

Redakcja: Anna Kołat

Redakcja techniczna: Zespół „Vocatio”

Korekta: Elżbieta Wygoda

Copyright © 1988 by Frank E. Peretti

Originally published in English under the title:

Trapped at the Bottom of the Sea

by Crossway Books, a division of Good News Publishers

Wheaton, IL 60187, USA

This edition published by arrangement

with Good News Publishers

All rights reserved

!&!

Copyright for the Polish edition

© 1994 by Oficyna Wydawnicza „Vocatio”

All rights to the Polish edition reserved

Wszelkie prawa wydania polskiego zastrzeżone. Książka, ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powiela mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie i magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy. W sprawie zezwoleń należy zwracać się do Oficyny Wydawniczej „Vocatio” 02-792 Warszawa 78, skr. poczt. 41

Copyright for the cover illustration © 1990 by David Yorl

/^"r^CteBN 83-85435-42-5

Moim kochanym dzieciom

Rafałkowi, Krzysiu, Justynce  
dedykuję tę książkę  
Wydawca

sz-----s.

Porwanie

, pogodny ranek wstawał nad Bazą Lotniczą w japońskim mieście Yokota, niedaleko Tokio. Starlifter C-141, olbrzymi samolot transportowy Dowództwa Sił Powietrznych, stał gotowy do lotu na pasie startowym, a jego wielkie stalowe cielsko przypominało z daleka skrzydlatego wieloryba. Choć cały ładunek spoczywał już w ładowni, a kapitan wraz z załogą byli gotowi do startu, potężne silniki samolotu pozostawały chłodne i milczące. Sierżant Al Reed stał w drzwiach luku, nerwowo spoglądając to do wnętrza ładowni, to w stronę hali lotniska, to zaś na swój zegarek. Z posepnym wyrazem twarzy bębnił palcami o ścianę samolotu.

W tym czasie wewnątrz powietrznego krążownika sierżant Max Baker chował pospiesznie niewielki pakunek pomiędzy skrzynie towarowe, tak by nikt tego nie zauważył. Gdy skończył wziąć, głęboki oddech, uspokoił się i dołączył do stojącego w drzwiach Ala.

Al był tak zdenerwowany, że jego zachowanie mogło łatwo zwrócić czyjąś uwagę.

7

Max zbliżył się do niego i rzucił ściszym głosem

— Hej, Al, nie możesz tak wyglądać. Uspokój się chłopie.

— Robi się późno, Max. Co ten Griffith tam tak dłu robi?

— Zdąży, nic się nie martw.

— Ryzyko rośnie z każdą chwilą. Jeśli zaraz nie ruszamy, to zrobi się ciemno zanim...

Mocny uścisk, jaki poczuł na prawym ramieniu, ka: mu przerwać w pół zdania. W oczach Maxa pojawiła niema, ale stanowcza reprimenda.

— Przestań mleć ozorem!

Al wbił rozbiegany wzrok w ziemię i westchnął głośno starając się ze wszystkich sił opanować skołataną nerw

— „Narzędzia” mam na pokładzie, przygotowane akcji. A ty? — spytał Max nie rozluźniając uścisku.

Al pokiwał głową.

— Ja też. Jak myślisz, czy ludzie z ochrony mogli (wywęszyć)?

— Nie, wszystko idzie gładko jak po maśle. Nikt czego nie podejrzewa.

— Skąd więc to opóźnienie?

— Pewnie jakieś formalności, wiesz jak to jest.

— A jeśli ktoś coś zauważył? Max spojrzał Alowi prosto w oczy.

— Na pewno coś zauważą, jeśli zaraz się nie opanuje. W tej samej chwili na twarzy Ala zawitał wyraz ulgi

— No, nareszcie!

Obaj spojrzeli w kierunku lotniskowego hangaru. P kownik William Griffith, wysoki, szczupły mężczyzna czterdziestce, stał przed bramą hangaru w towarzystwie trójki cywilów:

wysokiego, mocno zbudowanego dżeni mana w garniturze oraz pary nastolatków, czy raczej m żaloby powiedzieć młodego mężczyzny oraz młodej i my. Młoda dama — piękna dziewczyna o jasnych jak

S

głosem: włosach — miała ze sobą bagaż, który Griffith w pewnym okój się, momencie podniósł z ziemi z wyraźnym zamiarem zaniesienia go do samolotu, ak długo — No pięknie! — mruknął pod nosem Al.

— Nie, nie, to jakaś pomyłka. To na pewno pomyłka.

— Wzrok ci szwankuje, Max? Griffith zabiera na po-ie ruszy- kład cywilnego pasażera, to jasne.

— Ale to musi być jakieś nieporozumienie! Przecież iu, kazał mamy lecieć z misją wojskową!

iwiła się Obaj mężczyźni z niepokojem przyglądali się, jak pułkownik Griffith wymienia pożegnalne uściski dłoni z nieznanym dżentelmenem oraz z młodzieńcem, po czym ił głośno towarzyszy dziewczynie w drodze przez płytę lotniska, nerwy. — Co teraz? — wyszeptał Al.

do — Nic takiego — odparł Max z zimnym spojrzeniem,

u. — Nic się nie zmienia. Dalej, bierzemy się za robotę.

Obaj powrócili do swych prac przy załadunku i gdy ogli coś Griffith wraz z nieznaną weszli na pokład, dwaj mężczyźni sprawiali całkiem normalne wrażenie pochłonię-nych pracą mechaników.

— Panowie — zwrócił się do nich Griffith. — Przedstawiam wam pannę Lilę Cooper, która odbędzie z wami podróż powrotną do Stanów.

Griffith przedstawił dziewczynie obu lotników, a ona przywitała się z nimi uściskiem dłoni. nujesz. — Dopilnujcie — dodał pułkownik — by miała przy-

z ulgi. jemny lot.

W tym momencie dwa metry ponad ich głowami otwo-u. Puł- rzyły się drzwi głównego pokładu, z których wychylił się zna po przystojny, czarnoskóry oficer, ystwie —

Och, a więc to jest nasz pasażer,

żentel- Griffith przeprowadził krótką prezentację.

j nale- — Lila, oto porucznik Isaac Jamison, drugi pilot,

da- Porucznik Jamison szybko zszedł na ziemię po szczeb-

len lach metalowej drabinki i wyciągnął do niej rękę.

9

— Witamy na pokładzie, Lilo. Kończymy wlaś przygotowania do lotu, a gdy tylko wszystko będzie go we, oprowadzę cię po pokładzie i poznam z resztą zało

Trzynastoletnia Lila dojrzała w oczach poruczn: życzliwość oraz ciepło, które pomogły jej przemóc nieć do tego wielkiego, chłodnego samolotu. Z miejsca, w k rym stała, starlifter wyglądał jak długi magazyn w kszt cie tunelu pełen skrzyń, masywnych urządzeń oraz ogromnej liczby kartonów przymocowanych na czas lotu pokładu. Pod sufitem widać było płataninę różnokoloi wych kabli i przyćmione lampy. Sądząc po wąskiej, n wygodnej na pierwszy rzut oka ławce umieszczonej pr jednej ze ścian, samolot nie był przystosowany do przew żenią pasażerów.

— Max — odezwał się porucznik — może wniósłb bagaże panny Cooper do ładowni?

Max sprawiał wrażenie całkowicie nieobecnego mj lami. Minęła krótka chwila, nim otrząsnął się z zadur i szybko chwycił za bagaże Liii.

— Tak jest, panie poruczniku. Przepraszam, par poruczniku.

— Chodźmy — zaproponował Jamison. — Pozna cię z załogą, zanim wystartujemy.

Pokazał Liii metalową drabinkę prowadzącą do kabii pilotów. Wspięła się po niej kilkoma szybkimi ruchami, | czym weszła do środka przez niewielkie drzwiczki.

Nareszcie coś ciekawego, pomyślała dziewczynka. Znajdowała się na samym przodzie samolotu, w miejsc gdzie siedzieli pierwszy i drugi pilot. Było to niespodziewanie obszerne pomieszczenie, w którym, ku zaskoczeniu Lili, mogło wygodnie przebywać osiem, może nawet dziesięć osób.

Porucznik Jamison przedstawił ją reszcie załogi.

— Lila, oto dowódca samolotu, kapitan Aaro Weisfield... — Pierwszy pilot, zaskakująco młody, symp;

10

i właśnie tyczący mężczyzna uściśnął jej dłoń. — Starszy mechanik iziegoty- Bob Mitchell...

— Krótko ostrzyżony człowiek odwrócił ją do załogi, się od pełnej zegarów, diod oraz przełączników tablicy iruczniaka rozdzielczej i potrząsnął wyciągniętą ręką dziewczyny. — c niechęć A to nasz nawigator, Jack Yoshita. — Mocno zbudowany :a, w któ- Azjata obdarował ją silnym uściśnięciem dłoni oraz serdecz-w kształ- nym uśmiechem.

z ogrom- Porucznik Jamison zaczął wyjaśniać Lili budowę tab-i lotu do lic rozdzielczych. lokoloro- — To jest radio... a właściwie kilka osobnych odbior-kiej, nie- ników radiowych... to jest wysokościomierz, sztuczny ho->nej przy ryzont, zawory...

przewo- Lila nie mogła się jednak skoncentrować na słowach porucznika. Patrzyła przez okno na dwie postacie stojące niósłbyś przy bramie hangaru w oczekiwaniu na odlot — byli to jej ojciec i brat. Widziała ich wyraźnie, miała jednak nadzieję, go myśl- że oni jej nie widzą. Nie potrafiła spojrzeć im teraz w oczy, zadumy stanąć twarzą w twarz, nawet z takiej odległości.

— Na czas startu będziesz musiała zająć miejsce i, panie w ładowni — wyjaśniał porucznik. — Będzie tam trochę hałasu, ale gdy tylko osiągniemy właściwą wyso-Poznam kość,

znajdziemy ci jakieś wygodne siedzenie tutaj,

w kabinie, 'kabinie Lila otrząsnęła się z zamyślenia i podążyła za Jamiso-

iami, po nem przez tylne drzwi kabiny do ładowni. Porucznik wska-• zał jej miejsce na wąskiej ławce stojącej przy ścianie, a ona

-zynka. usiadła tam posłusznie i zapięła pasy. Tuż obok ujrzała miejscu niewielkie, okrągłe okienko, nie miała jednak teraz chęci podzie- przez nie wyglądać.

)czeniu — Do zobaczenia po starcie — rzucił z uśmiechem

2t dzie- Jamison, a następnie zniknął w drzwiach kabiny.

Dziewczyna pograżyła się w smutnych rozmyślaniach. • Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo samotna.

Aaron Porucznik Jamison zasiadł w fotelu drugiego pilota, ympa- zapiął pasy, nałożył słuchawki, po czym zajął się należą-

U

cymi do niego czynnościami. Krótkie komendy zaczęły rozbrzmiewać w słuchawkach czterech lotników, któi w ciągu paru minut tchnęli życie w ciężkie cielsko sta wego potwora.

Wielkie silniki starliftera wyły swą głośną, pożegnał pieśń, gdy pułkownik Griffith schodził z płyty lotniska, dołączyć do stojącego przed bramą doktora Coopera oj jego czternastoletniego syna, Jaya.

— Będzie jej tam dobrze jak za piecem — odezwał przyjacielskim tonem pułkownik.

— Bardzo ci dziękuję, Bill — odparł doktor, ani moment nie odrywając oczu od wielkiego zielonego san lotu, który właśnie zaczął kołować w stronę pasa st towego.

William Griffith znał Jake'a Coopera wystarczają długo, by móc z całą pewnością powiedzieć, kiedy p obojętną maską niewzruszonego spokoju doktor skry' prawdziwe, wzburzone uczucia. Teraz właśnie była jed z takich chwil. Coś w spojrzeniu, jakaś ledwie słyszal nuta w głosie, zdradzały staremu przyjacielowi prawdzh stan uczuć doktora.

Griffith czuł się nieswojo, nie wiedział, co powie doktorowi, jak go pocieszyć.



— Moja mama nie żyje.

Mitchell ujrzał w oczach dziewczynki ból i smi i zrozumiał, że pytanie było nie na miejscu. Żałował, że może sam sobie dać kopniaka.

— Przepraszam.

— Nic się nie stało.

— A co sprowadziło cię do Japonii — próbował z niego temat.

— Rząd nas tu przysłał w ramach programu miany kulturalnej. Uniwersytet mojego taty wymii na parę miesięcy kadre profesorską z Uniwersyte Tokijskim.

— To poważna sprawa. Czym zajmuje się twój ojc

— Mmm... archeologią biblijną, starożytnymi cy\ zacjami i tym podobnymi.

— O! To brzmi imponująco. Musisz być z niego dzo dumna.

— Czyja wiem...

Mitchell skrzywił się sam do siebie. „Znów złe tanie!”

— To ja lepiej już pójdę na swoje stanowisko. Czol Z rykiem silników starlifter zatrzymał się na sk

pasa startowego, po czym z jeszcze większym huk ruszył do przodu.

14

lechanik Boi

2 raz spraw

Doktor Cooper i Jay w napięciu obserwowali, jak star-

edział, że te lifter nadspodziewanie lekko wzbija się w powietrze, jak

)b nawiązać pnie się coraz wyżej po błękitnym niebie i sunie na wschód ponad bezkresnym

Pacyfikiem. Huk silników cichł z każ-

iej wydusić dą sekundą. Po chwili samolot był już tylko maleńką kruszyną zostawiającą po sobie cienką smugę dymu,

ta wprost: a wkrótce zniknął zupełnie. Smutne przedstawienie dobiegło końca.

)1 i smutek Ojciec i syn zostali sami. Żaden z nich nie wiedział, co

ował, że nie powiedzieć.

— No i odleciała — odezwał się Jay. Było to oczywiste, lecz chłopiec tak mocno odczuwał to wydarzenie, że musiał ująć je w słowa.

'ował zmie- — Wracajmy do hotelu — powiedział doktor, kierując

się w stronę wyjścia. >ramu wy- Jay siedł u boku ojca i czuł wielką potrzebę porozma-

wymienia wiania o tym, co się wydarzyło, /ersytetem — Będzie... będzie nam chyba

trochę ciężko.

— Z czym, synu?

>wój ojciec? Jay rzucił ojcu zniecierpliwione spojrzenie, mi cywili- — Będzie nam

ciężko bez Liii. To znaczy, nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo. Zawsze było nas troje;

niego bar- zawsze trzymaliśmy się razem. Po prostu nie rozumiem... Doktor nie był zbyt

rozmowny.

— Lila przechodzi teraz trudny okres. Pewne rzeczy w złe py- musi przemyśleć sama. I tyle.

Jay nie chciał drażyć tego tematu, lecz uczucia, jakie >. Czołem, w nim wzbierały, po prostu

nie pozwalały mu milczeć, na skraju — Jest mi naprawdę przykro, że ona odleciała. Teraz

n hukiem jest nas tylko dwóch; kiedy pomyślę, jak ciężko było się kiedyś przyzwyczaić, że

jest nas tylko troje...

15

1

— Porozmawiamy o tym później, dobrze?

Jay zamilkł, bo wiedział, że tego właśnie chce ojc Był zły, że ojciec traktuje go w taki sposób.

„Porozmaw my o tym później”. Ileż to już razy słyszał to zda a zawsze towarzyszyło mu owo

ciężkie spojrzenie w oczach doktora, spojrzenie, którego Jay nie potrafił 2 zumieć. Tak jakby

żywe, spostrzegawcze, pełne mik oczy, które tak kochali Jay i Lila, skryły się nagle ] maską z kamienia. Jay spojrzał na ojca. Tak, to sai twarde spojrzenie, oczy patrzące w dal, powieki nie chome.

Lila przyglądała się przez okno oddalającym się v brzeżom Japonii. W dole był już tylko płaski, bezkres stół błękitnego oceanu.

— Możesz już rozpiąć pas.

To porucznik Jamison spoglądał na nią z uśmiech\* z drzwi kabiny.

— Uff! — odpięła klamrę i wyprostowała lekko zd twiałe ciało.

— Pora na drugie śniadanie. Masz chęć coś zjeść?

— Pewnie — rzuciła, po czym poprawiła się natyc miast — Tak, chętnie.

— Max wkrótce nam coś przyniesie. Zaoferował jej miejsce na wygodnej ławce przy tylr ścianie kabiny, a następnie powrócił do swych ob wiązków.

— Proszę pana... — zaczęła Lila. Spojrzał na nią z z ciekawieniem. — Jestem baidzo wdzięczna, za wszystk Zachowałam się nieuprzejmie, wiem o tym... Przepr szam.

16

Uśmiechnął się serdecznie. Było w tym uśmiechu coś

:hce ojciec, niezwykle naturalnego, spontanicznego.

)rozmawia- — Co tam, każdemu się zdarza. Zapomnij o tym i czuj

to zdanie, się jak u siebie w domu.

spojrzenie — Dziękuję. Och, jeszcze coś... panie Mitchell.

lotrafizro- Starszy mechanik podniósł głowę znad tablicy roz-

Ine miłości dzielczej.

nagle pod — Panu także chciałabym podziękować i przeprosić.

;, to samo, Uśmiechnął się.

ieki nieru- \_ W porządku.

Lila poczuła się lepiej. Mogła teraz spokój nie rozejrzeć się po całej kabinie. Kapitan Weisfield włączył automatycznego pilota i od tej chwili kontrolował tylko wzrokiem wskazania różnych mierników, podczas gdy starlifter sam leciał wytyczonym kursem. Reszta załogi zajęła się swoimi sprawami — jakąś papierkową robotą, rozmową o różnych m się wy- technicznych szczegółach, lekturą kryminałów. Panowała bezkresny atmosfera spokoju i rozluźnienia.

Al i Max szybko opuścili kabinę zaabsorbowani swoimi obowiązkami. Musiała przyznać, że nie zmartwiła się

śmiechem zbytnio ich nieobecnością. Coś w tych dwóch ludziach budziło w niej niepokój, może pewna nerwowość w ich

:kko zdrę- ruchach, może chłód w niespokojnych oczach.

Po jakimś czasie Max powrócił do kabiny z kilkoma

zjesc? pudełkami jedzenia. Reszta załogi przywitała radosnymi

ę natych- okrzykami przybycie posiłku. Jediną odpowiedzią Maxa był nieszczerzy uśmiech oraz chłodne spojrzenie, którym obrzucił Lilę.

rzy tylnej Bob Mitchell rozpakował swój karton i zaczął wykła-

ych obo- dać jego zawartość na stół.

— Chodź, ja stawiam — zwrócił się z uśmiechem do nią z za- Liii.

wszystko. Lila bez namysłu przyjęła tę propozycję. Drugie śnia-

Przepra- danie zapowiadało się całkiem niezłe: kanapka z indykiem, sałatka warzywna, mleko, ciasteczka.

17/^B[j\

k

crólką modlitwę,

c

ą modlitwę.

— Xe.st paw... je.Y,V paw cUrŁe.śc\jatv\tve«\r? — odwai^ się spytać dziewczynka.  
— Jasne — uśmiechnął się Bill.  
— Świetnie... — Po raz pierwszy tego dnia na twar Liii zawitał uśmiech.  
— Ja także — wtrącił porucznik Jamison.  
— Zgadza się — odparł Bob. — Teraz pracujemy n naszym dowódcą. Mamy zamiar zapewnić mu zbawień już wkrótce.  
Kapitan Weisfield spojrział na nich z krzywym uśmi enem.  
— Alleluja — zaśmiał się Yoshita.  
— Poczekaj, Jack. Ty będziesz następny. Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.  
Bob sprawiał wrażenie o wiele bardziej rozluźnionej  
— Może nareszcie będziemy mieli o czym porc mawiać.  
— Amen — odrzekła Lila. — Naprawdę mi tego ter potrzeba.  
W tym momencie rozległ się ostry, metaliczny dźwię Spojrzenie Boba zatrzymało się na czymś za plecami Li a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.  
— Co to? — spytała niepewnie.  
— Nie odwracaj się — odpowiedział Bob cichy i opanowanym głosem. — Nie ruszaj się.  
— Dobry pomysł — rozległ się inny głos tuż za nią Porucznik Jamison odwrócił się na fotelu i z sztywniał.  
— Co to, Max?  
Głos Maxa dobiegał zza pleców dziewczynki; b chłodny, okrutny, drwiący.  
— To karabin maszynowy Uzi, w pełni załadowań w pełni sprawny. Niech nikt nie rusza się z miejsca.  
18  
ę i zmówił | odważyła  
Wyszedł na środek kabiny i z karabinem przy biodrze obrócił się dokoła, dając każdemu z załogi możliwość spojrzenia w śmiercionośną lufę.  
— A teraz wszyscy ręce na kark i ani drgnąć! Wszyscy wykonali polecenie. Spojrzenie porucznika Jamisona wyrwało Lilę z osłupienia. Natychmiast zrobiła to, co reszta załogi.  
Max nie działał w pojedynkę. Oto bowiem w drzwiach stanął Al, także uzbrojony w karabin. Sprawiał wrażenie niezwykle zdenerwowanego, a przez to podwójnie niebezpiecznego.  
— W porządku — odezwał się Max. — Czas na zmianę personelu. Jamison, podnoś się z tego fotela. — Nagle krzyknął na cały głos. — Ręce z daleka od radia!  
Al trzymał karabin w pogotowiu na wypadek, gdyby ktoś próbował ich powstrzymać.  
Porucznik Jamison powoli wstał z fotela.  
— Dobra, ty i dziewczyna, wynocha stąd! Do ładowni!  
Porucznik kiwnął do niej głową, a dziewczynka podniosła się z siedzenia z nie przełkniętym kawałkiem kanapki, tkwiącym jej w gardle niczym knebel. Pierwsza zeszła do ładowni.  
— Powoli, spokojnie. Bez numerów — mówił Al. — W porządku, Jamison, teraz twoja kolej. Tylko powoli.  
Kiedy tylko Lila oraz Jamison znaleźli się w ładowni, Max zasiadł na fotelu drugiego pilota.  
— Dobra — zwrócił się do kapitana Weisfielda. — Porozmawiajmy teraz o zmianie kursu.  
Al zszedł do ładowni i machnął dłonią w stronę ławki.  
— Siadźcie sobie.  
Z rękami na karku Lila i Jamison usiedli na ławce. Nagle samolot ostro przechylił się w prawą stronę, przyprowadzając Lilę o gwałtowny skurcz żołądka.  
— Zmieniamy kurs — wyjaśnił Jamison.  
Al oparł się o ścianę dla zachowania równowagi.



— Wygląda na to, że kapitan Weisfield robi dokładnie to, co każe mu Max.

— Spokój tam, nie wierzyć się.

Porucznik Jamison spytał spokojnym, opanowanym głosem:

— Al... co wy właściwie chcecie zrobić?

Al próbował się uśmiechnąć, starał się sprawiać w żenie pewnego siebie i opanowanego, wyraźnie było jednak widać, że jest straszliwie zdenerwowany.

— To się nazywa porwanie, panie poruczniku. Pnujemy samolot pod naszą kontrolę.

Starlifter zakończył manewr i powrócił do normalnego, równego lotu.

— Dokąd lecimy?

— Och, do jednego miejsca na południe stąd, nie w nie. Niech pan się lepiej martwi o siebie i o tę dziewczynę. Jesteście oboje naszą polisą ubezpieczeniową, że tak wyrażę. Ktoś tam w kabynie zrobił jeden fałszywy ruch — Pokiwał im przed oczami lufą karabinu. Potem wyczołgał się w stronę drzwi do kabiny i zawołał: — Jak tam?

— Wszystko w porządku — rozległ się głos Maxa. Za moment będziemy zgłaszać nasze położenie.

Al wziął głęboki oddech i uspokoił się nieco.

— Huh! Jak na razie idzie nieźle, co?

Lila nie słyszała słów porwacza, była bowiem całkiem w modlitwie.

i dokładnie

anowanym

awiac wra-eb- było jed-

iku. Przej-

normalne-

J'

V

Katastrofa

4, nie waż-:iewczyne.

że tak się ^y ruch i... m wycofał tam?

Maxa. —

o.

iem całko-

wa wieży kontroli ruchu w Tokio jak zwykle panował gwar. Dwudziestu pracowników uważnie obserwowało monitory radarów, przyjmując jednocześnie komunikaty radiowe od odbywających lot załóg. Komunikat od starliftera odebrany przez jednego z kontrolerów nie różnił się niczym od setek innych rutynowych meldunków, jakie codziennie przewijały się przez eter.

— Kontrola Tokio — rozległ się głos w słuchawkach kontrolera. — Tu MAC 50231, pozycja Rocky, 10:25, poziom lotu 330, kurs 40 Północ, 160 Wschód. Następny, 11:50, 43 Północ, 170 Wschód.

— MAC 50231 — odpowiedział kontroler. — Kontrola Tokio, przyjąłem.

Kapitan Weisfield ze spokojem przyglądał się, jak Max wyłącza radio. Meldunek, który Max przed momentem

21

złożył w wieży kontroli lotów w Tokio, mówił, że starlifter, czyli „MAC 50231”, kieruje się zgodnie z pierwotnym kursem na wschód ku Stanom Zjednoczonym, lecąc wysokości dziesięciu kilometrów. Max wiedział, że samolot znajduje się już poza zasięgiem tokijskich radarów, ludzie z kontroli lotów nigdy by się nie domyślili, że Max kłamie, i że starlifter kierował się teraz na południe wciąż nieznanemu przeznaczeniu.

— Niezły plan, co? — zagadnął Max, żując gumę. Kiedy skończymy nadawać pozycje, wszyscy będą rmi leli, że zniknęliśmy gdzieś na Aleutach!

— Więc dokąd lecimy? — spytał Weisfield.

— No cóż, kapitanie, za chwilę wprowadzę odpowie nie zmiany do systemu nawigacyjnego, dzięki czemu sk rujemy się prosto na południe, pomiędzy Wake i Gua Karoliny są piękne o tej porze roku, nie sądzi pan?

— A co jeśli się okaże, że nie mamy wystarczając ilości paliwa, by tam dolecieć?

— Och, proszę się o to nie martwić. Paliwa mar dużo; już to sprawdziłem.

— Wygląda na to, że wszystko dokładnie zaplanow liście — zauważył Weisfield.

— Oczywiście, kapitanie, oczywiście — zaśmiał j Max.

Starlifter podązał na południe.

W ładowni samolotu Lila i porucznik Jamison siedzi li nieruchomo pod lufą karabinu Ala. Porywacz pozwo im w końcu opuścić ręce, widząc, że nie mogą już dłu2 trzymać ich w górze.

— Jak się czujesz — zapytał Lilę porucznik. Starał > zachowywać możliwie spokojnie i uprzejmie.

Lila w głębokim zamyśleniu wpatrywała się w p dłogę. Minał moment, nim otrząsnęła się z zadumy.

— Ja... ja się boję.

Uśmiechnął się uspokajająco i odparł:

wił, że starlif-z pierwotnym ym, lecąc na ział, że samo-ich radarów; Aślili, że Max południe ku

jąc gumę. — y będą myśl-

:ld.

ę odpowied-

czemu skie-

lke i Guam.

pan?

'starczającej

liwa mamy

zaplanowa-

zaśmiał się

on siedzie-z pozwolił ! już dłuzej

∴ Starał się

się w poimy.

— Och, to najzupełniej normalne.

— Nie, nie o to mi chodzi.

Nachylił się do niej ostrożnie, by lepiej słyszeć. Lila rozejrzała się wokoło jakby w poszukiwaniu właściwych słów, po czym rzekła cicho:

— Obawiam się... no... co by było, gdybym nigdy już nie ujrzała taty ani brata?

Dotknął lekko jej dłoni i odparł:

— Ależ na pewno ich jeszcze ujrzysz, i to nie raz. O to się nie martw.

Zawahała się przez chwilę, a potem wykrztusiła z siebie z trudem.

— Mój ojciec i ja... powiedzieliśmy sobie trochę nieprzyjemnych rzeczy przed moim wyjazdem. Jest mi teraz straszliwie przykro, że tak z nim rozmawiałam, i... że to były ostatnie słowa, jakie ze sobą zamieniliśmy.

Jamison nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się przez chwilę.

W końcu odezwał się łagodnym głosem:

— To dobrze, że o tym myślisz. — Uśmiechnął się. — Patrz, jak to jest, że kłopoty każą nam przystanąć i pomyśleć?

— Co pan ma na myśli? Zaśmiał się cicho.

— No wiesz, wszyscy jesteśmy ludźmi i robimy to, co robimy, nawet, jeśli to jest złe. Pewnie nigdy nie mielibyśmy okazji usłyszeć głosu Boga, gdyby... no właśnie, gdybyśmy nie wpadali od czasu do czasu w tarapaty. Tylko wtedy przystajemy, wyciszamy się, słuchamy.

Lila nie była przygotowana na tego typu przemowę.

— No tak...

— Weźmy na przykład Jonasza. Próbował uciec od Boga, więc Bóg sprowadził pewne problemy. W ten sposób zatrzymał Jonasza, aby móc z nim porozmawiać.

— Dzięki temu, że połknęła go wielka ryba, tak?

9?

— Właśnie. W ten sposób chciał ściągnąć jego uwagę na Siebie.

— Ale to nie o mnie tu chodzi. To mój ojciec problemem!

— Cóż, to ty tak sądzisz, ale o ile się orientuje, w sześcioletni wymaga udziału dwóch osób.

Lila nie miała ochoty na drażnienie tego tematu.

— Czy możemy porozmawiać o czymś innym? Jamison przytaknął.

— Oczywiście.

Przerwał na moment. Al stał przy drabinie prowadzącej do kabiny, a więc dość daleko od nich, w ładowni zaś panował hałas pracujących na zewnątrz silników (działającej w środku wentylacji). Jamison był zadowolony, że mogą rozmawiać, nie będąc słyszani.

— Nie odwracaj się teraz. Czy pamiętasz wielki pojemnik ustawiony na końcu ładowni?

— Wielki kawał stali w kształcie ogromnej butelki. Pokrywał głowę.

— Tak jest. — Zniżył głos, lecz nie przestawał łagodnie uśmiechać, tak jakby rozmawiał o sprawach hich lub nieistotnych. — To specjalna pokrywa służąca przewożenia wrażliwych, delikatnych ładunków. Nie puszczaj wody, powietrza oraz, jak słyszałem, jest odporna na kule. To taki wielki sejf, rozumiesz?

Wskazał palcem na okno, jakby pokazując jej co; zewnątrz, lecz w rzeczywistości mówił o czymś zupełnie innym.

— Po drugiej stronie, od tyłu, jest właz wejściowy powinien być otwarty. Teraz posłuchaj: w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, gdyby zaczęła się jaka strzelanina, bijatyka, czy coś w tym rodzaju, natychmiast schowaj się do tego wielkiego kontenera i zamknij właz. Możesz tam bezpiecznie przeczekać całe zniszczenie.

24

jego uwagę Po godzinie Max wysłał kolejny fałszywy meldunek, informując centrum kontroli w Honolulu, że posuwają się ojciec jest zgodnie z kursem na wschód poprzez Aleuty. W rzeczywistości starliftery kierowały się ku równikowi.

Ituję, wiek- — To powinno wystarczyć — zdecydował Max, po

czym wyłączył wszystkie urządzenia radiowe. — Od tej

atu. pory cisza na morzu. My nie rozmawiamy z nimi, oni nie

lym? rozmawiają z nami.

ice prowa-w ładowni silników oraz idowolony,

wielki kon-

butelki?

stawał się awaryjną służącą do 'Nieprze-st odporna

jej coś na isz zupełnie

wejściowy; izie jakie-się jakaś i, natychmiast zamknij je zamie-

Godzinę później w centrum kontroli w Honolulu nadaremnie czekali na kolejny meldunek.

Gdy opóźnienie wyniosło już kilka ładnych minut, kontroler posłał w eter wezwanie.

— MAC 50231, Honolulu. Bez odpowiedzi.

— MAC 50231, Honolulu. Bez odpowiedzi.

Kontroler jeszcze kilkakrotnie ponowił wezwanie, a następnie skontaktował się z centrum kontroli w San Francisco.

— San Francisco, tu Honolulu. Nie możemy nawiązać połączenia z MAC 50231, ostatnie położenie 11:50, poziom lotu 330, 43 Północ, 170 Wschód. Czy jesteście w kontakcie?

— Honolulu, odpowiedź negatywna.

Kontroler natychmiast zwrócił się do swego przełożonego.

— Ed, mamy odpowiedź negatywną, chodzi o samolot MAC 50231.

Przełożony podszedł do tablicy rozdzielczej.

— To ci z Sił Powietrznych? Jest tam w pobliżu jakiś inny samolot?

25

Kontroler sprawdził to w swoich notatkach.

— Tak... lot pasażerski, United 497, z Seattle do Tol

— Sprawdź, może oni mogą się z nimi połączyć. Kontroler nawiązał kontakt z załogą linii United, kt

na jego prośbę kilkakrotnie wezwała samolot Sił Powietrznych mający znajdować się gdzieś w ich pobliżu.

— United 497, Honolulu — odezwał się po chwili kontroler. — Macie jakąś odpowiedź.

— Honolulu, United 497, negatywna — rozległ głos w słuchawkach kontrolera.

— Połącz się lepiej z Yokotą—zdecydował przełożony Kontrolerzy z Bazy Lotniczej w Yokota zaniepok

się na wieść o tym, że starłifter zamilkł. Mogło to oznaczać: nie lada kłopoty.

Dowódca bazy zaczął wydawać swym podwładnym rozkazy.

— Frank, daj znać dowództwu Dwudziestej Drużyny Powietrznej, że będziemy chyba potrzebować oddziału ratowniczego. Corey!

— Tak jest!

— Daj mi wszystkie dane na temat samolotu My 50231. Chcę wiedzieć kto i co jest w tym samolocie! Wrócił do telefonu. — Honolulu, próbujcie dalej się z nim połączyć. Powiedźcie też San Francisco, żeby pozostali w kontakcie.

Porywacze nie byli zbyt rozmowni. Al tkwił na swoim posterunku, ani na moment nie spuszczał z oka dwóch zakładników. Co jakiś czas do uszu Lili dochodziły strzępy rozmów z kabiny. To Max wydawał załodze rozkazy, pilnując, by wszystko szło zgodnie z planem.

26

:n- W pewnym momencie Lila zobaczyła coś za oknem.

tle do Tokio —Poruczniku...

Dłaczego. Jamison spojrzał na zewnątrz.

United, która Mijali właśnie małą wysepkę, drobny skrawek lądu

t Sił Powietrznych wśród bezkresnego oceanu otoczony białobłękitnym

)bliżu. pierścieniem fal.

ię po chwili — Zbliżamy się do Marianów Północnych — zameldował Yoshita.

- rozległ się głos — Teraz uwaga—odezwał się Max i ruchem karabinu dodał wagi swym słowom.

— Róbcie dokładnie to, co każę

ł przełożony wam układ nawigacyjny, żadnych sztuczek. Nie chcę zaniepokoić zwracać niczyjej uwagi.

»to oznaczać Kapitan Weisfield kierował maszynę dokładnie po nowym kursie.

jodwładnym — Dokąd lecimy? — zapytał porucznik Jamison.

— Nie bądź taki ciekawy — powiedział chłodno Al. — Przypuszczam, że macie gdzieś swój własny pas na ać oddziału tyle długi, by można posadzić na nim tego ptaszka.

Al zaśmiał się chytrze i odpowiedział:

— Powiedzmy, że wynajmujemy taki pas od czasu do olotu MAC czasu. To stary pas zbudowany przez Japończyków jeszcze molocie! — wczasie wojny. Położony jest w raczej odludnym miejscu; lej się z nimi na tyle odludnym, że wątpię, by ktokolwiek o nim wie->y pozostali dział.

Człowiek o nazwisku Corey wpadł do centrum kontroli w Yokocie z plikiem dokumentów lotu. Podał je pospiesznie dowódcy, który pobieżnie przejrzał stronę po stronie.

— No pięknie... — mruknął dowódca pod nosem, po czym odezwał się głośno — No pięknie! Po prostu cudownie! — Wręczył dokumenty porucznikowi. — Dane doty-  
i! na swoim oka dwójki żyły strzępy )zkazy, pil-

27

czące ładunku są utajnione. Cokolwiek oni tam mają, nie powinien się dowiedzieć, co to jest. Połączyłeś si< z Dwudziestą Drugą, Frank? Zdaje się, że mamy kłopot W tym momencie porucznik znalazł w papierach j cze jeden istotny szczegół.

— O, jeszcze jeden problem. Na pokładzie jest c>

— Co takiego?

Porucznik wskazał dowódcy odpowiedni fragmen kumentu.

— Lila Cooper, lat trzynaście, przelot cywilm McChord.

— W locie objętym tajemnicą wojskową? Jak to możliwe?

Porucznik czytał dalej.

— Hmm... rządowy program wymiany kulturali Jej rodzina jest nadal tutaj, w Japonii...

Widocznie mu szybko wracać do kraju i... tak, to zostało oficjalni< twierdzone.

Dowódca zaczął krążyć nerwowo po sali, ta włosy, skubać brodę, kręcić w zamyśleniu głową.

— Będzie ogromna kompromitacja — ciągnął poi nik — jeśli stracimy ten samolot.

Frank połączył się wreszcie z dowództwem E dziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznej.

— Mam ich na linii, panie pułkowniku! Dowódca chwycił za słuchawkę.

— Tu Myers. Straciliśmy kontakt z samolotem J\ 50231, w drodze z Yokoty do McChord.

Podamy war ostatnie położenie. Spróbujcie się z nimi połączyć, alb namierzyć. Ważne: ładunek jest ściśle utajniony. Zg się. Zaraz... jeszcze jedno: na pokładzie jest cywil, n letnia dziewczyna ze Stanów. Będzie wam trudno za wać to w tajemnicy, ale próbujcie, rozumiecie? Będz w kontakcie.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się głęboko.

28

am mają, nikt czyłeś się już amy kłopoty, ipierach jesz-  
ie jest cywil.

fragment do-

cywilny do

? Jak to jest

— A co z rodziną tej dziewczyny? — spytał porucznik.

— Co masz na myśli?

— Nie powinniśmy ich powiadomić?

Dowódca spojrział na porucznika, jak gdyby jego pytanie było głupie, potem jednak zastanowił się nad nim chwilę.

— No cóż, bracie. Jeśli nie zachowamy ostrożności, to skończy się to wszystkim naruszeniem tajemnicy wojskowej jak stąd do Honolulu. — Namyslał się jeszcze chwilę. — Nie, lepiej ich nie zawiadamiać... jeszcze nie teraz. Nie mówmy więcej, niż musimy powiedzieć... nikomu!

culturalnej... znie musiała ficjalnie za-  
sali, targać

wą.

inałporucz-  
wem Dwu-

3tem MAC iy wam ich yć, albo ich iy. Zgadza wil, nasto-Ino zacho-Będziemy

Max uważnie obserwował ruchy każdego z członków załogi.

Weisfield starał się nie drażnić porywacza.

Nagle pośrodku tablicy rozdzielczej zapaliło się zielone światelko.

— Co to? — nerwowo spytał Max.

— Eee... to... — zaczął Wesifield.

— Zostaliśmy namierzeni! — krzyknął Max. — Ktoś ma nas na radarze!

Bob Mitchell starał się go uspokoić.

— To tylko sygnalizacja połączenia radiowego...

— Nie próbuj mnie oszukać! — wrzasnął Max. — Znam ten samolot wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że odbieramy sygnały radarowe!

— To może być radar bazy w Guam — tłumaczył Weisfield — ale pewności nie mam.

— No to ukryj się gdzieś przed tym!

— Jak? Max, jesteśmy pośrodku płaskiego jak stół oceanu!

— Zrób, co mówię! Reszta mnie nie obchodzi!

29

Al usłyszał krzyki Maxa i wstał.

— Max! Co się dzieje!

Na moment porywacz odwrócił wzrok od zakła ków. Porucznik Jamison nie zastanawiał się ani ch\ próbował wykorzystać nadarżającą się okazję. Skoczj równe nogi, rzucił się na Ala i zaczął się z nim szamc próbując wyrwać mu z rąk karabin.

W powstałym zamieszaniu Al nacisnął spust i kar: wypalił z hukiem, żłobiąc półkolisty rząd dziur w suf Ładownia wypełniła się gryzącym dymem. Rozległ się uciekającego na zewnątrz powietrza.

Z sercem pełnym panicznego strachu, ogłuszona kiem Lila błyskawicznie upadła na podłogę i ukryła si stosem wysokich skrzyń.

Zaalarmowany dochodzącymi z ładowni odgłos Max wypadł z kabiny, ujrzał szamoczących się męża i krzyknął:

— Jamison, stój bo strzelam!

Jamison rozluźnił nieco uchwyt, co wystarczyło , wi, by odepchnąć go na bok. Max chciał powstrzy porucznika ostrzegawczym strzałem, w tym jednak mencie został zaatakowany od tyłu przez Boba Mitch Z głośnym krzykiem Max starał się odeprzeć niespoc wany atak, a jego palec zacisnął się kurczowo na spi automatu. Niczym śmiercionośny grad kule odbijał] z brzękiem od metalowej podłogi i leciały we wszyst kierunkach, znacząc zadymione powietrze jasnymi sm mi oraz oślepiającymi iskrami. Trafiony dwoma pocisl Jamison padł na podłogę. Z twarzą wykrzywioną b( spojrział na Lilę i szybkim ruchem głowy wskazał na w stalowy pojemnik.

Max, który stracił nad sobą panowanie, słał seri serią bez żadnego konkretnego celu. Kolejne kule prze powłokę starliftera. Rozległ się ryk syreny alarmo a światła w ładowni zajaśniały pełną mocą. Ciśnienie

30

wietrzą wewnątrz samolotu spadało! Al bez namysłu wypalił w stronę Mitchella, który padł trafiony na podłogę xl zakładni- ładowni. Część kul przedostała się do kabiny, z trzaskiem ; ani chwili; rozbijając czułe instrumenty i urządzenia. ;. Skoczył na Nagle nastąpił wybuch! Dymiące odłamki metalu wy-m szamotać My wielką dziurę w lewej ścianie samolotu! W mgnieniu oka Al zniknął w powstałym otworze jak cząstka kurzu ust i karabin wessana przez

odkurzacz. Samolot przechylił się najpierw w jedną, potem na drugą stronę, aż w końcu zaczął się izlewać i trząść.

Pozostali w kabinie członkowie załogi założyli maski tlenowe, zaś Weisfield chwycił za ster, próbując wyrównać i zatrzymać maszynę.

— Silnik numer dwa w ogniu! — Natychmiast zamknijcie drzwi! — Pociągnął za dźwignię ponad głową. — Dźwignia pożarowa numer dwa odciągnięta. Środek gaśniczy wprowadzony, oczekujcie! — Jack Yoshita rzucił się do swego stanowiska próbując odcisnąć przycisk alarmowy, aby ocenić powstałe uszkodzenia. Jednak — Gwałtowny spadek ciśnienia! Ściana została przełamana. Kule musiały trafić w silnik!

— Kapitan Weisfield zauważył na swym ramieniu czerwoną na spuściewoną plamę. Włączył radio. — Mayday! Mayday! MAC odbijały się 50231... — Samolot zaczął trząść się i przechylać z boku wszystkich boków. Kapitan pchnął ster do przodu, na co samolot zaczął ymić smugę i pikiować dziobem w dół. Weisfield chciał jak najszybciej opuścić samolot i znaleźć się na bezpieczniejszej wysokości, gdzie łatwiej byłoby oddychać.

— Już na wielki Lili brakowało już powietrza. Przed oczyma wirowały jej czarne plamy, zaczynała tracić przytomność. Z trudem chwyciła wiszącą na ścianie butlę z tlenem i przystawiła ją do twarzy; po chwili odzyskała jasność umysłu, alarmowej. Dopiero wtedy z trwogą zauważyła, że zsuwa się po ścianie pochyłej podłodzi ku przodowi samolotu. Wolną ręką

31

zdołała złapać się za jakąś skrzynię. Maszyna podskakiwała jakby w dziwnym tańcu. Przez dziób w ścianie dostrzegła wielki silnik, z którego wydostawały się kłęby dymu oraz czerwone i żółte języki ognia. Cały silnik był rozdarty, niektóre jego części przewracały się po podłodzi ładowni.

Max padł na podłogę na przedzie ładowni. Twarz miał trupiośnie. Nie trzymał już w dłoniach karabinu. Nie poruszał się.

Porucznik Jamison krwawił z ran na piersi i brzuchu. On także zdołał złapać butlę tlenową, z której teraz czerpał powietrze. Nagłym spojrzeniem wskazał na stalowy kontener. Dziewczynka zaczęła wspinać się w stronę schronienia jak po stromym zboczu rozedrganego wzgórza. Była blisko.

Weisfield słabł z każdą chwilą. Uważnie obserwował wysokościomierz, utrzymywał samolot w miejscu, wiedział jednak, że maszyna dogorywa.

— System hydrauliczny numer dwa nie działa! — donosił Yoshita.

— Ogień! — krzyknął Weisfield. — Przedzierajcie się przez linie kontroli! Będziemy wodować! Samolot rował i trzął się w szaleńczym pędzie ku wodom. Byli już na wysokości poniżej trzech kilometrów. Weisfield z całych sił odciągnął ster i wielkie, stalowe drzwi zaczęły się wyprostowywać, trzęsąc się przy i drżąc niczym złamany latawiec.

— Trzymajcie się! — krzyknął Weisfield — będziemy pływać.

Lila poczuła wokół siebie uścisk opiekuńczych rąk porucznika Jamisona. Samolot wyrównał nieco lot, nadal kołysał się, podskakiwał i wirował, niebezpiecznie przechylony dziobem w dół. Oboje modlili się żarliwie. Słyszeli ryk powietrza trącego o kadłub maszyny

32

— podskakiwał w ścianie dziobem! — Cały burt przewracał się! — Twarz miała karabin!

— i biodra! — teraz czerpię! — wskazywał

na schronienie. Była już blisko.

— obserwujcie! — nie działa! —

— przedzierajcie się! — Samolot wchodził w wodę. Weisfield chwycił się przy tył

— będziem

czych ramia ieco lot, leci ebezpieczni się żarliwie laszyny ora) trzask ognia, który trawił lewe skrzydło. Zdawało się, że rosnące gwałtownie ciśnienie rozsadzi im za moment uszy. Lila wyjrzała przez okno. Kolejne warstwy chmur migają jej przed oczami niczym piętra widziane ze spadającej windy. Powierzchnia oceanu zbliżała się z każdą sekundą.

— Do środka, dziewczyno, do środka! — Jamison popychał ją w stronę kontenera.

Lila przedostała się przez otwarty właz do mrocznego wnętrza. Obejrzała się za siebie, lecz Jamison raptownie zniknął jej z oczu.

— Poruczniku Jamison! — krzyknęła, wychylając się z włazu.

Ujrzała go znowu, z trudem trzymał się na nogach, był bardzo osłabiony. Chwilę później zatrzasnął właz i Lila znalazła się w całkowitej ciemności. Słyszała, jak zмага się na zewnątrz z ciężką zasuwą.

Porucznik Isaac Jamison, zakrwawiony, bliski śmierci, ostatkiem sił uruchomił mechanizm zamka, wcisnął zasuwę na miejsce, po czym wyjął klucz.

Siedząc w ciemności, Lila nadal czuła, jak samolot kręci się wokół własnej osi, wiruje, pędzi w dół...

Nagle nastąpiło potężne uderzenie! Stalowy kontener podskoczył gwałtownie i zadźwięczał niczym wielki dzwon pod gradem dziesiątek metalowych odłamków. Lila usłyszała najpierw huk i trzask rozrywanej powłoki samolotu, a potem szum napierającej zewsząd wody.

Chwilę później kontener zaczął koziołkować niczym kamień pchany wartkim prądem górskiego strumienia, a Lila poczuła się w jego wnętrzu jak pranie w bębnie wielkiej pralki. Nastąpiło ostatnie uderzenie, ostatni łomot i wstrząs, po którym Lila straciła przytomność, odpływając w sen.

33

J Odzie V, !\ jest Lila? ^ \

— Tak — powiedział doktor, a jego głos odbił echem o ściany wielkiej sali wykładowej Uniwersytetu Tokijskiego. — Uważam, że maszyny obłąnnicze odkryte w miejscu wykopaliska są pochodzenia babilońskiego.

Szpakowaty, dystyngowany profesor japoński który służył mu za tłumacza, mówił teraz do studentów w ich ojczystym języku. Gdy skończył, doktor ciągnął dalej.

— Księga Nahuma, rozdział drugi, wersety 1-3 określa jedną z takich maszyn jako dach obłąnniczy i podaje jego użycie podczas oblężenia Niniwy.

Znow tłumaczenie.

— Mogę jedynie dodać, że my sami odkryliśmy piaski przedstawiające konstrukcje uderzające podobne do niedawnego znaleziska z Tell Kuyunjik.

Profesor tłumaczył dalej.

— Po raz kolejny chciałbym więc podkreślić, w świetle tego rodzaju wykopalisk Biblii są dla nas się jej rzetelne i miarodajne źródło wiedzy historycznej.

j4

a

Profesor skończył tłumaczyć odpowiedź doktora, a wtedy dwustu japońskich studentów oraz wykładowców zgromadzonych w sali wydało z siebie głośny pomruk aprobaty.

Doktor Cooper spojrział na zegar. — Na tym skończymy dzisiejszy wykład. Jutro pokażę państwu obiecane wcześniej slajdy i jestem pewien, że do tego czasu będą państwo mieli kolejne pytania. Bardzo dziękuję za uwagę. ^

Gdy tłumacz przełożył na japoński ostatnie słowa doktora, zebrani wstali z miejsc i zaczęli powoli opuszczać salę.



Doktor Cooper oraz profesor Nishiyori, który tłumaczył, zeszli z katedry.

— Fascynujący wykład, doktorze — powiedział Nishiyori. — Archeologia biblijna to dla nas całkowicie s odbił się nowa dziedzina.

liwersytetu — Dziedzina warta uwagi, zapewniam pana. :ze odkryte — Był to dla mnie prawdziwy zaszczyt! riskiego. — Bardzo panu dziękuję. — Doktor spojrział na zega-

japoński, rek. — Hmm... gdzie mogę znaleźć telefon? studentów \_ Może pan zadzwonić z mojego gabinetu. Proszę ze tor ciągnął mną.

W gabinecie profesora Nishiyori doktor wykręcił nu-set szósty, mer do Stanów, do swojej siostry Joyce w Seattle. niczy i pot- — Och... Jake — rozległ się jej głos w słuchawce. — ' Zastanawiałam się, czy zadzwonisz.

Z tonu, jakim to powiedziała, doktor domyślił się, że liśmy płas- coś jest nie w porządku.

jąco podo- — No właśnie, chciałem sprawdzić, czy Lila dotarła » cało i zdrowo do domu. Muszę z nią poza tym o czymś

ważnym porozmawiać. kreślić, że! —Niestety, jeszcze jej tu nie ma. Była jakaś pomyłka am się jako w rozkładzie lotów, czy coś takiego. Pojechałam do jej. McChord, żeby j ą odebrać, czekałam, czekałam, ale samo-

1

lot nie przyleciał. Próbowałam się czegoś dowiedzieć ludzi z obsługi lotniska, ale nikt nie potrafił mi nicze powiedzieć.

Przez chwilę doktor nie potrafił wydobyć z siebie s wa. To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

— Ja... chyba nie do końca rozumiem, co się właści1 stało... Miałaś właściwy numer lotu?

Słyszała szelest papierów na biurku Joyce.

— Już ci mówię — odezwała się po chwili. — MAC 50231, z Bazy Powietrznej w Yokocie. To ten?

— No... tak. Mam tu w notesie dokładnie ten s numer.

— To znaczy, że ktoś coś pomylił, Jake. Doktor Cooper westchnął i spuścił głowę.

— Tak to jest z tymi wojskowymi.

— Czy chcesz, żebym coś przekazała Liii... jak ju; znajdzie, rzecz jasna?

— Och... nie, właściwie nie. Ona i ja... no wiesz, tn się posprzeczałyśmy, zanim wyjechała, więc chciały teraz jakoś załagodzić.

— No cóż, nikt w McChord nie potrafił mi pomóc, nic nie wiedzą, a ja wiem jeszcze mniej.

Naprawdę mam pojęcia, co się z nią stało.

— Umówmy się tak: ja spróbuję się czegoś dowiec u siebie, a ty spróbuj jeszcze raz u siebie.

— W porządku.

— Masz mój numer hotelowy?

— Tak, mam. Zadzwonię, jak tylko zdobędę j; informacje.

— Ja też. Dzięki.

Natychmiast po powrocie do hotelu doktor zadz\ do Bazy Powietrznej w Yokocie.

Czterokrotnie ods] go pod inny numer, zanim dotarł w końcu do kogo; wiedział coś o sprawie.

— Zgadza się — odezwał się męski głos w słuch;

36

lowiedzieć oc — Pańska córka była na pokładzie. Samolot wylądował ~ił mi niczego dziś zgodnie z planem w McChord.

— Mógłby pan to jeszcze raz sprawdzić? — zapytał ć z siebie sło doktor. — Dzwoniłem do Seattle i powiedziano mi, że jnsu. samolot nie przyleciał.

się właściwif \_ Nie... to musiała być pomyłka.

— Och, to jasne, że była jakaś pomyłka, chciałbym się \*• tylko dowiedzieć, gdzie.

hwili. — La Rozmawiali jeszcze przez chwilę, lecz doktor szybko i. To ten? się zorientował, że tą drogą do niczego nie dojdzie, dnie ten sam — Przepraszam, a czy mógłby mnie pan połączyć z pułkownikiem Griffithem?

— Moment.

?• Moment minął i pułkownik Griffith znalazł się przy telefonie. li... jak już się — Tak, Jake?

— Cześć, Bill. Słuchaj, mam pewien problem. wiesz, trochę — Tak, wiem, zniknęła ci gdzieś córka. Zdaje się, że : chciałem to nastąpiła jakaś zmiana kursu, o której wcześniej nie wiedziałem.

ii pomóc. Oni — Ach, rozumiem.

naprawdę nie — Lila wsiadła do niewłaściwego samolotu. Próbuję właśnie się dowiedzieć, dokąd poleciała. Nie powinno to >ś dowiedzieć długo potrwać.

— Kiedy będziesz coś wiedział?

— Zadzwoń do ciebie.

— W porządku. obęde jakies — Do usłyszenia.

Griffith odłożył słuchawkę — dziwnie szybko — pomyślał doktor Cooper. W ogóle w ciągu całej tej rozmowy ot zadzwoni! głos Griffitha brzmiał jakoś nieswojo. Nie przeprosił za pow- nie odsyłano stałe zamieszanie, choć normalnie tego rodzaju zdarzenie o kogoś, kto bardzo by go zdenerwowało. Poza tym doktor miał nieodparte wrażenie, że jego przyjaciel nie chciał z nim rozmawiać i ma-v słuchawce, rzył o tym, by jak najszybciej odłożyć słuchawkę.

37

Doktor postanowił zostać w pokoju — przygoto się do następnego wykładu i czekać na telefon. Wied jednak, że nie będzie czekał zbyt długo.

Zimno. Chłód, mrok, krople wilgoci na zimnym m lu. Ziemia kołysała się i przechylała na wszystkie sti jak łódź targana sztormem.

Lila otworzyła oczy, lecz nie dotarł do niej najmniej nawet promyk światła. Zamknęła je znowu, tym ra z przeszywającym bólem. Głowa jej się trzęsa, żoń miała skurczony. Żaden dźwięk nie mącił martwej c: aż do chwili gdy się poruszyła, a wtedy słyszała jed szelest swego ubrania oraz szmer palców przesuwają się po metalowej powierzchni. Położyła sobie dło głowie i wyczuła solidnego guza. Być może krwawił, nie dało się tego sprawdzić z powodu ciemności wszechobecnej wilgoci.

Podniosła głowę i jeszcze raz otworzyła oczy. widziała niczego poza całkowitą ciemnością.

Wtedy 5 przypomniała: stalowy kontener, olbrzymia butla, w k w ostatnim momencie się schroniła. Nadal była w jej \ rzu, lecz... coś było nie tak. Zaczynała wątpić, cz zewnątrz wciąż jeszcze znajduje się ładownia same Przypomniała sobie dźwięki, które wtedy słyszała: buch, odgłos rozrywanego samolotu, gwałtowny b napierającej wody.

Jedna myśl szczególnie zaprzątnęła jej uwagę. „ Panie Boże, jak Ty to zrobiłeś? Ja żyję.”

Usiadła bi powoli, wyciągając w górę dłoń, by się upewnić, że o coś nie uderzy. Czynność ta sprawiła, że zakręciło i w głowie i przez chwilę pomyślała, że zwymiotuje.,

38

przygotowa kojnie, powoli. Oddychaj, oddychaj." Myśl o oddychaniu efon. Wiedzia przypomniała jej o butli tlenowej. Nachyliła się nad podłogą i zaczęła szukać po omacku. Po chwili odnalazła maskę i przycisnęła ją do twarzy. Och, teraz poczuła się dużo lepiej. Jej głośny oddech odbijał się echem od stalowych ścian, zupełnie tak, jakby znajdowała się w wielkiej puszcze. Trwała przez jakiś czas w całkowitym bezruchu, czekając aż zbawienny tlen przywróci jej jasność myśli zimnym meta oraz spokój żoładka.

zyskie stron; Potem zaczęła powoli badać dłońmi najbliższe otoczenie, próbując przywołać w pamięci zatarty obraz wnętrza, ejnajmniej] który mignął jej przed oczami, zanim zamknął się właz. u, tym razen Natrafiła na zimne, stalowe żebro, którego zakrzywiony ęśla, żoładet kształt przypomniał jej, że kontener miał formę cylindra, artwey ciszy, albo

wielkiej pękatej butelki. Czuła, że nie stoi on prosto, szła jedynie lecz jest lekko przechylony. Powoli ruszyła ku niżej poło-zesuwający z żonemu końcowi, odnajdując po drodze porzucane bez-obie dłoń n; ładnie skrzynki i kartony, aż wreszcie dotarła do wjazdu, krwawił, leci — Halo! — krzyknęła ile sił w piersi, lecz z zewnątrz emności oraz nie padła żadna odpowiedź. Zawołała jeszcze parę razy, ale jedyną odpowiedzią było głośne echo jej własnego ła oczy. Nie wołania odbijające w metalowym dzwonie. • Wtedy sobie Przypadkowo odnalazła w pobliżu płócienną torbę, utła, w którą którą, po chwili zmagają z suwakiem, udało jej się otwo-ła w jej wnet rzyć. We wnętrzu torby poczuła chłód stalowych narzędzi. ąpić, czy na Był tam młotek... kluczy... parę śrubokrętów... obcegi... O! nia samolotu. I latarka!

słyszała: wy- Włączyła światło. Początkowo raziło ją w oczy, lecz towny bulgól byłaszcześliwa, że może wreszcie ujrzeć, jak wygląda ów tajemniczy świat wnętrza wielkiej butli, wagę. „Żyję. Tak, nie ulegało wątpliwości, że kontener musiał nieźle siadła bardzo koziołkować. Torby, pudła oraz dziesiątki różnych drobnic, że znów nych przedmiotów leżały porzucane po całym wnętrzu kręciło się jej i jedynie wielka skrzynia przypięta do podłogi mocnymi iotuje. „Spo- pasami pozostała na miejscu. Zimne ściany były wilgotne.

Podłoga miała siedem, może osiem metrów długości ora około dwóch metrów szerokości. Była całkowicie płask natomiast ściany oraz sufit stanowiły jedną, zakrzywioi powierzchnię. Dopiero po chwili zauważyła, że na dłoni ma kre- Dotknęła guza na głowie i znów spojrzała na dłoń. Kr było więcej.

Gdzieś musiał być jakiś bandaż, gaza, coś, czym dal by się opatrzyć ranę. Zaczęła czołgać się pod górę w r szukiwaniu apteczki.

Właśnie minęła środek odległości między dwiema ścianami, kiedy poczuła coś niepokojącego. Kontener: kołysał się. Mogła nim poruszać, balansując ciałem.

A więc unosiła się na powierzchni oceanu... albo r powierzchnią... a może była zanurzona do połowy w v dzie, a może...

Tak naprawdę, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje

Doktor Cooper oraz Jay przespali całą noc, a za telefon nie przerwał im snu. Zbliżało się południe, 1 nadal nie dotarła do nich żadna informacja. Doktor Coc połączył się z recepcją, by spytać, czy nie ma dla ni jakiejś wiadomości. Nie było żadnej. Zadzwoił więc( Bazy Powietrznej w Yokocie, ale nikt nie potrafił mu niczego powiedzieć, zaś pułkownik Griffith okazał nieuchwytny.

Zeszli na śniadanie do hotelowej restauracji i wła tam kelner przyniósł im tę informację: „Park Hoshi, w łudnie. Griffith”.

Pobliski park Hoshi był ogromnym japońskim o dem, miejscem o niezwyklej wprost urodzie i atmosf

40

ługości oraz gdzie kręte ścieżki wiły się pośród precyzyjnie przyciętych vicie płaska, trawników oraz majestatycznych drzew. Każdy krzew, zakrzywioną każdy staw, każda altana, wszystko znajdowało się tam dokładnie w miejscu, gdzie powinno się znajdować, a cali ma krew. łość tworzyła zakątek pełen łagodnego spokoju i niezach-i dłoń. Krwi wianej harmonii. Nic więc dziwnego, że ludzie uwielbiali

się tam bawić, spacerować i odpoczywać. , czym dało- Doktor Cooper i Jay doceniali otaczające ich zewsząd górę w po- piękno, lecz nie ono zaprzętało teraz ich myśli. Obaj martwili się zniknięciem Liii, a ich oczy wypatrywały tylko Izy dwiema pułkownika Williama Griffitha.

.ontener za- Lecz to właśnie on ich znalazł. Niczym bohater szpie-ialem. gowskiego filmu wyszedł niespodziewanie na drózkę spo-

... albo pod za drzew, ubrany w strój cywilny, owy w wo- — Cześć — rzucił krótko. —  
Chodźcie za mną.

Podążyli za nim wąską boczną ścieżką do wyżłobionej znajduje, w skale małej niszy z wodospadem, gdzie stało kilka pustych ławek. Usiadł na jednej z nich, a doktor wraz z synem natychmiast się do niego przysiedli.

— Przepraszam za to dziwne zachowanie — odezwał się zniżonym głosem. — To dlatego, że nie wolno mi z wami rozmawiać, ic, a żaden — Mam nadzieję, że jednak porozmawiamy. Lidnie, lecz — Cóż, to może być ostatnia szansa. Za niespełna tor Cooper godzinę muszę być z powrotem w bazie. Aż trudno opo-i dla niego wiedzieć, co tam się teraz dzieje. Sytuacja jest naprawdę uł więc do poważna. — Spojrzał na nich obu, ostrożnie dobierając ifił mu tam słowa. — Do rzeczy... przede wszystkim, wbrew temu, co okazał się wam wczoraj powiedziałem, nie jest prawdą, że Lila pomyliła samoloty. Obok telefonu stali ludzie, którzy mogli i i właśnie usłyszeć, co mówię, a rozkazy były wyraźne: nie możecie )shi, w po- się dowiedzieć absolutnie niczego o losie samolotu.

, — O losie samolotu? — spytał zaniepokojony Jay. kim ogro- — Możesz mówić wprost — powiedział doktor spo-tmosferze, kojnym, choć pełnym troski głosem.

41

— Samolot zaginał — wyrzucił z siebie Griffith, czym szybko dodał — co nie znaczy, że się rozbił. Rił' nowe akcje poszukiwawcze są już prowadzone, ale na: nie mamy pewności, co się stało.

Doktor Cooper położył dłoń na ramieniu przyjadę a potem rzekł wolno i wyraźnie:

— Bill, powiedz, jeśli coś wiesz. Milcz, jeśli musi ale nas nie okłamuj.

William Griffith ujrzał wielką powagę w oczach dokto

— Jake, tylko ze względu na naszą przyjaźń 01 miłość, jaką darzę ciebie i twoją rodzinę, zdecydowali się złamać tajemnicę wojskową. Nie wszystko mogę wi powiedzieć, lecz to, co wam powiem, musicie zachou w całkowitej tajemnicy, jasne?

Doktor Cooper i Jay pokiwali głowami. Słuch w skupieniu i z wielkim przejęciem.

— Starlifter C-141 rzeczywiście leciał do Stan i przez parę godzin poruszał się zgodnie z kursem, pot jednak przestał nagle meldować o swoim położeniu. I Honolulu, ani San Francisco, ani samolot pasażerski mogli się z nim połączyć. Ostatnie meldowane położę samolotu to północny Pacyfik, mniej więcej w poło^ drogi między Japonią a Aleutami.

Helikoptery grupy townicznej regularnie przeczesują tę okolicę, ale jak na ra nic nie znalazły.

— Północny Pacyfik... — cicho powtórzył dok Cooper, a twarz miał białą jak kreda.

Griffith westchnął głośno i ciągnął dalej głosem je cze niższym niż poprzednio.

— Jest jeszcze coś. Udało mi się dotrzeć do raport flaSZegO Wywiadu, Z których jamo wynika, że wyw sprawdza ostatni meldunek odebrany przez bazę w Tok Zdaje się, że powątpiewają w jego wiarygodność.

— Czyli... meldunki o położeniu mogły być fałszy — wywnioskował Jay.

Al

Griffith, po rozbił. Rutynę, ale nadal

przyjaciela!

jeśli musisz!

zach doktora! •zyjaźń orai scydowałenj ) mogę wara ie zachowaj

ni. Słuchali

do Stanów rsem, poten łożeniu. Ani sażerski nie ie położenie w połowie ry grupy ra-;jak na razie

fzył doktoi

głosem jesz-

do raportów że wywiad zę w Tokio, ość. yć fałszywe

— Z pewnością jest to możliwe, tym bardziej że dowiedziałem się jeszcze czegoś. Po pierwsze, radary w Bazie Powietrznej imienia Andersona na wyspie Guam wychwyciły jakiś niezidentyfikowany obiekt około trzeciej rano czasu Greenwich, czyli koło południa na Guam. A jeśli policzyć, ile czasu zajęłoby naszemu samolotowi zmiana kursu z północnego na południowy oraz dotarcie w zasięg radaru na Guam, to okazałoby się, że byłby on tam właśnie mniej więcej o trzeciej. Po drugie, niedługo potem ktoś nadał z tamtej okolicy sygnał Mayday. Do tego należy jeszcze dodać krótki, zdławiony sygnał identyfikacyjny odebrany przez Guam, który mógł być kodem identyfikacyjnym 50231.

— A więc... samolot poleciał na południe, zamiast na wschód? — spytał doktor.

Griffith przytaknął.

— Ale... skąd masz tę pewność?

— Nie mam pewności. Ale ktoś musi ją mieć, skoro decyduje się wysłać ściśle tajne jednostki poszukiwawcze właśnie na Karoliny. Poza tym słyszałem, że użyto samolotów zwiadowczych SR-71. Jak się wysyła tyle ludzi i sprzętu w takie miejsce, to trzeba wiedzieć, co się robi.

— Ale dlaczego nic nam nie powiedzieli? — spytał ze złością doktor.

— Jake, przecież nie mogą ci wszystkiego powiedzieć, nawet, jeśli twoja córka jest na pokładzie. Samolot przewoził tajny ładunek o bardzo delikatnym charakterze; jest więc duże prawdopodobieństwo, że został porwany. To oznacza komplikacje na skalę międzynarodową, a to z kolei oznacza, że odpowiednie służby zajmą się całą sprawą same, po swojemu, bez twojego udziału.

— Spodziewasz się, że będziemy tu siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż oni zrobią to, co będą chcieli, w czasie, jaki uznają za stosowny, podczas gdy życie Liii może się znajdować w niebezpieczeństwie?

43

Griffith uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie. Wcale nie. Zbyt dobrze cię znam. Wiem i tak wmieszasz się w całą tę sprawę, bez względu ni co ktoś ci każe. Dlatego chcę ci pomóc... W jaki sposób Wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, to dać ci koni potem... musisz radzić sobie sam. Na tych wyspach pai pewien ferment polityczny: komuniści, rzecz jasna, pi dopodobnie filipińska partyzantka. To tylko moje p puszczania, nie poparte żadnymi dowodami, ale ci wła ludzie mogli maczać palce w zniknięciu samolotu. Pi dopodobnie zależy im na przechwyceniu znajdującego( na pokładzie ładunku.

— Gdzie mam zacząć szukać?

— Wysłałem już telegram do pewnej osoby w Pulos

— Gdzie? — zapytał Jay.

Griffith uniósł brew i wzruszył ramionami.

— To taka wyspa w archipelagu Karolin. Pota bardzo dokładnej mapy, żeby ją znaleźć.

— Mów dalej — powiedział doktor.

— Ona jest pisarką i dziennikarką. Ma pewne ir macje na temat działalności komunistów w tamtym reje a teraz stara się dowiedzieć czegoś więcej. Jest niesamc cie dociekliwa, więc jeśli tylko coś się szykuje, albo cos się stało, można być niemal pewnym, że ona będzie o wiedzieć. Wkrótce powinienem dostać jej odpowiedź.

— Kto to jest? Można na niej polegać?

— Raczej tak. Zawsze osiąga to, na czym jej zał ale nigdy nie zawodzi przyjaciół.

— Jak możemy się z nią skontaktować?

— Nie możesz się doczekać, co? — Griffith sięgnął, kieszeni koszuli, wyjął stamtąd skrawek papieru i poda doktorowi. — Nie uda ci się skontaktować z nią telefon nie, ale tu masz jej imię i nazwisko oraz adres skl w Pulosape, w którym możesz zostawić dla niej wi< mość przez radio.

44

, Wiem, że ;lędu na to, iki sposób? ci kontakt, )ach panuje isna, praw-moje przy-i ci właśnie lotu. Praw-ującego się

Doktor Cooper przeczytał widniejące na kartce nazwisko.

— Margaret Flaherty.

— Znasz ją?

Doktor Cooper wyteżył pamięć.

— Chyba kiedyś widziałem to nazwisko w druku, ale... nie przypominam sobie, żebym kiedyś ją poznał.

— Och, możesz mi wierzyć, że gdybyś kiedyś ją poznał, doskonale byś ją zapamiętał. w Pulosape.

i. Potrzeba

juwne infor-:ym rejonie, niesamowi-albocośjuż ?dzie o tym wieź.

jej zależy,

i sięgnął do u i podał go telefonicz-Ires sklepu liej wiado-

## S Klejnot V-k^ Pacyfiku J

Pośród bezkresnych przestrzeni południowego Pa fiku Pulosape było tylko niewielką muldą z czarnej, v kanicznej skały porośniętą gąszczem bujnej roślinności długa na pięćdziesiąt kilometrów wysepka służyła przystań rybackim kutrom, kupieckim szkunerom c zabłąkanym jachtom.

Po zawiętrznej stronie wyspy, tam gdzie kona rowała się wszelka aktywność ludzka na tym opuszczor skrawku lądu, stał sklep Złego Dave'a — pożałow; godny klocek o betonowych ścianach popękanych od 2 wielu trzęsień ziemi oraz dachu przyciśniętym star oponami, pamiętce ostatniego huraganu. Przed wejści na nierównej, pociętej śladami kół drodze, czekał sa chód Dave'a, stary land rover z licznymi śladami udei kokosów na masce. Zaledwie kilkadziesiąt metrów d szumiały fale Pacyfiku.

Wewnątrz sklepu śniadzi tubylcy, ubrani jed; w spódniczki z trawy, tłoczyli się i przepychali przy kach pełnych ubrań, narzędzi, zbiorników z paliwem,

46

rzyw oraz mięsa. Rybacy, żeglarze i podróżnicy szukali tu różnego rodzaju części zamiennych, lin i narzędzi.

Zły Dave nie mógł narzekać na brak zajęcia. Stał za ladą i targował się, kłócił, sprzedawał, krzyczał oraz wymieniał najnowsze wiadomości, nawet jeśli były to długie, nie kończące się opowieści.

Był potężnym jak czołg mężczyzną o śniadej skórze, który nigdy nie wyjmował z ust gumy do żucia, a w brudnej kieszeni miał zawsze zwój pomiętych banknotów. Mieszkał na tej wyspie od dwudziestu sześciu lat, będąc praktycznie jej jedynym nadzorcą. Znał niemalże wszystkich, którzy odwiedzali wyspę, i dobrze wiedział, kogo lubi, a kogo nie, oraz kto i ile jest mu winien.

Tego dnia interes szedł dobrze i nic nie mąciło spokoju duszy Dave'a, aż do chwili, gdy Bojo, zatrudniony w jego sklepie tubylec, wyszedł szybkim krokiem z zaplecza,

^ego Pacy- zbliżył się do swego szefa i szepnął mu coś na ucho.

arnej, wul-j

inności. Ta

służyła zal

erom oraz

i koncentrowanym (żałowania rch od zbyt

Jesteś pewien? — spytał cicho Dave. Bojo pokiwał głową.

— Zły! Duży, czarny! Głodny!

— Kto jeszcze tam jest?

— Tylko oni — odparł Bojo — Ruda i Kelly. Dave zmrużył oczy.

— Bojo, nikt więcej poza nami nie może się o tym dowiedzieć, w porządku?

Bojo przytaknął, po czym ruszył za Dave'em na zaple-

m starymi!cze' Dave chwycił za klamkę i ostrożnie otworzył drzwi, wejściem, Wysokie półki uginające się pod ciężarem puszek, kar-jkał samo- tonów oraz części zamiennych stały wzdłuż ścian zaplecza, ni uderzeń!a na środku, przy małym stoliku, na którym leżała wysłużo-:trów dalej na szachownica, siedziało naprzeciwko siebie dwoje ludzi. Jednym z nich był Kelly, mały uparty marynarz, który ni jedynie przez większość swego życia zajmował się głównie zbija-i przy pół- niem bąków, a którego największą pasją było zakładanie iwem wa- s^ — ° cokolwiek, o wszystko.

47

Drugim graczem był kwiatuszek, najpiękniejszy ki not Pacyfiku, anioł zesłany przez niebiosa. Tak właśnie] Dave lubił określać siedzącą przy stoliku kobietę, któ cała uwaga skupiała się teraz na szachownicy i trwając już pewnie od paru godzin pojedynku.

Nazywała się Margaret Flaherty, była pisarką. Mif na sobie lekkie marynarskie spodnie oraz flanelową ko\* lę, a rude włosy spływały jej na ramiona niczym wod» przybrzeżne skały o zachodzie słońca.

Teraz jednak, zastygła w bezruchu, przypominała bi dziej marmurową statuę niż kobietę z krwi i kości.

Dave spojrział na Kelly'ego. Mały marynarz tali trwał w bezruchu, tylko jedno oko poruszało mu się leki

Dave nachylił się i zapytał swojego pomocnika sze tern:

— Jak długo tak tu siedzą?

— Około godziny. Z początku grali w szachy nap niądze, a potem Ruda podwyższyła stawkę. Powiedzia „Kelly, jak długo może pan tak siedzieć bez ruchu?" A na to: „Bez końca, proszę pani." A ona: „Może się załoi my?", na co on: „Zakład stoi." No i proszę...

— Więc przez cały ten czas siedzieli tak jak teraz? Bojo przytaknął.

Dave pokręcił głową.

— Słońce niedługo zajdzie. Nie ociepli się aż do ra

— Nie uda im się.

— Kelly'emu na pewno nie. A co do pani Flahert cóż, zawsze mnie zaskakuje.

— Co... możemy zrobić?

— Czekać, to wszystko. Zamkniemy dziś wczesi i nie będziemy nikogo wpuszczać. Nikogo, zrozumiał Zajmij się sklepem. Ja zostanę teraz przy nich. Ok dziesiątej w nocy przyjdiesz mnie zmienić.

Bojo zamknął sklep i znalazł sobie miejsce do spa na stercie słomianych mat. Dave został na zapleczu, poj

48

iejszy klej-- łaśnie Zły ietę, której trwającym

rką. Miała owąkoszu-m woda na

minała bar-

ści.

narz także u się lekko, cnika szep-

chy na pie-wiedziała,

chu?" A on się założy-

k teraz?

aż do rana. Flaherty...

wcześniej ozumiałeś? ich. Około

do spania czy, pozor-

nie sędziując w wielkim zakładzie, jednak w rzeczywistości jego uwagę zajmowała przede wszystkim nogawka spodni rudowłosej kobiety. Przez cały ten czas nie oddalał dłoni od rękojeści ostrej jak brzytwa maczety.

Mijała godzina za godziną. Nadeszła północ. W pewnym momencie oczy Kelly'ego zasły mgłą, zdołał jednak opanować senność. Żadne z nich się nie poruszało. Bojo obserwował ich uważnie, myśląc jednocześnie o bólu, jaki ci dwoje musieli odczuwać.

Około drugiej w nocy Dave wszedł cicho na zaplecze, niosąc naftowy grzejnik. Na ten widok Bojo pokiwał głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Dobry pomysł.”

Dave ostrożnie postawił grzejnik przy stoliku, po czym zwrócił się do dwóch ludzkich posągów:

— Pomyślałem, że może przyda się wam trochę ciepła. Robi się zimno.

Zapalił grzejnik i odsunął się po cichu.

W pomieszczeniu zaczęło robić się coraz cieplej, a po godzinie było wręcz gorąco. Pot spływał po twarzach obu graczy. Oczy Kelly'ego stawały się coraz bardziej mętne.

Dave i Bojo nie odrywali oczu od nogawki marynarskich spodni kobiety. Grzejnik stał tak blisko jej nogi, że gorąc musiał być nie do wytrzymania.

Nagle oczy Bojo stały się wielkie. Z ledwie słyszalnym jękiem zatkał sobie usta dłonią.

Dave chwycił go za ramię i szepnął:

— Cicho, Bojo, ani drgnij!

Obaj widzieli, że nogawka się porusza, fałdy tworzyły się na niej i znikwały, jakby żyła własnym życiem.

Dave bardzo ostrożnie podniósł dłoń do maczety. Gracze nie zauważyli tego ruchu. Nadal siedzieli wpatrzeni w siebie w całkowitym skupieniu.

Nogawka nie przestawała się poruszać. Niewielki garb pod materiałem zaczął przesuwac się w dół, ku otworowi nogawki.

49

Błyszczący, czarny łeb wyrzwał na zewnątrz, kołysz się w powietrzu, a cienki, czerwony język niespokojr badał otoczenie.

Bojo mocno splótł dłonie, by opanować ich drzeń Dave złapał za maczetę.

Łeb czarnego stworzenia powoli opadł na drewnia podłogę, a jego długie, czarne, oślizłe ciało zaczęło ceni metr po centymetrze wylewać się z nogawki. Waż wype spod stołu nie przestając wysuwać języka.

Wreszcie zbliżył się do Dave'a, ten jednak nie rus; się, aż do właściwej chwili CIACH!

Maczeta błyskawic nie spadła na podłogę, oddzielając głowę węza od res; ciała, które przez moment wiło się i skręcało, by w kor spocząć bez ruchu na środku podłogi. Głowa z białą, s; roko rozdziawioną paszczą, z której wystawały dwa bły czące kły, wylądowała metr dalej.

Bojo nie zdołał opanować krzyku.

Kelly przegrał zakład. Rzucił krótkie spojrzenie w b dojrzał węza i na ten widok zerwał się na równe w z głośnym sapnięciem oraz potokiem przekleństw.

Kobieta westchnęła z ulgą, po czym opuściła głów

— Bogu niech będą dzięki — powiedziała cicho. I tern podniosła drżącą ręką swoją królowkę i zrzuciła z szachownicy należącego do Kelly'ego króla. — Sz; i mat.

Kelly stał bez ruchu, osłupiały z przerażenia i nie wierzenia.

— Co... jak pani mogła...?

— Miałam całą noc, żeby to obmyślić — odpa wycierając pot z czoła, a następnie zwróciła się do Da\ — Mógłby pan wskazać damie drogę do toalety?



— Cały czas prosto, przez tamte drzwi — odparł Dz W pośpiechu opuściła zaplecze, podczas gdy Kelly v

pił zdziwiony wzrok najpierw w martwego węża, pol w szachownicę, a na końcu w dwóch siedzących mężczyzn }

Dave. — Zdaje się, że to diabełstwo przyplętnęło na wyspę

ttiósł zwłoki węża i aż gwizdnął zaskoczony rozmiarami gada. — Nocą lubią wpełzać w ciepłe, ciemne miejsca, by skryć się przed zimnem. — Dokładnie pod stolikiem dostrzegł niewielką dziurę w podłodze. — To tędy się tu dostał. Bojo, trzeba będzie zatkać tę dziurę. Bojo pokiwał głową.

Kelly patrzył na nich pytającym wzrokiem, za bardzo był jednak przestraszony, by wydobyć z siebie choćby słowo.

— Dobrze, że przyjąłeś ten zakład — rzekł Dave. — Wąż owinął się pani Flaherty wokół nogi. Podobno jad tych węży zabija w ciągu paru sekund.

Pani Flaherty wróciła na zaplecze, spokojniejsza i bardziej odprężona.

— Dziękuję ci, Dave.

Dave wyłączał właśnie naftowy grzejnik.

— Bardzo proszę, pani Flaherty. Pewnie zwierz uznał, że jest mu za gorąco w nogawce.

Kelly długo gapił się na kobietę. Odpowiedziała mu uśmiechem ulgi.

— Pani... — wykrztusił wreszcie Kelly — pani jest niezwykłą kobietą, pani Flaherty.

— A pan jest wymagającym przeciwnikiem, panie Kelly — odparła. — Proszę mi jednak powiedzieć, czy dotrzyma pan warunków zakładu?

— Hm?

— Wygrałam zarówno partię szachów, jak i zakład. Czy powie mi pan to, co chciałabym wiedzieć?

Kelly nadal nie mógł zebrać myśli. Dave postanowił trochę mu pomóc.

— No, Kelly, pamiętasz przecież. Wszyscy dobrze wiedzą, że zadawałeś się z tymi komuchami.

Ji

Twarz Kelly'ego rozpromieniła się nagle, jak gdyb jego pamięć zaczynała działać.

— Ach, o to chodzi. — spojrzał na panią Flaherty. -O co mnie pani pytała?

Pani Flaherty pokazała Kelly'emu krzesło, po czyi sama usiadła naprzeciw niego.

— Kiedy po raz pierwszy przyplętnęłam na Pulosap pełno tu było filipińskich partyzantów. Można było wrę< pomyśleć, że zwołali jakiś zjazd.

Dave usadowił się na pustej drewnianej beczce.

— Spędzali mnóstwo czasu w sklepie. Szastali for na prawo i lewo i strasznie zadzierali nosa. Ktoś płacił i widać gotówką oraz bronią. Mieli tu gdzieś pewnie jak sporą robotę.

Kelly zaśmiał się nieszczercze.

— Ech, a co ja mogę o tym wiedzieć?

Pani Flaherty nie zamierzała się tak łatwo poddać.

— Zdążyli się już stąd wynieść i to bardzo szybko. Wiem, że to ty przewoziłeś ich swoją łodzią. Dokąd i zawiozłeś i dlaczego?

Dave nachylił się nad marynarzem.

— Zakład to zakład, a ty przegrałeś, Kelly, nie zaf minaj o tym.

Kelly zastanawiał się przez chwilę, po czym ze snu kiem pokiwał głową.

— Ale oni nie mogą się dowiedzieć, że to ja wam powiedziałem.

— Zgoda — odrzekła kobieta.

— Jest ich około stu — zaczął Kelly. — Wszys z Filipin, a więc z bardzo daleka. Są świetnie opłaca a w zamian mają wykonać pewne zadanie dla swycl sponsorów.

— Dla Sowietów? — spytał Dave.

— Tak, tak, dla kogóż by innego? Jeśli chcą w ogi marzyć o przejęciu władzy na Filipinach, muszą mieć s]

52

re pieniądze, więc ubili interes z Sowietami. Tamci płacą imduuuzą forszę w zamian za wykonanie pewnej specjalnej roboty.

— Jakiej roboty?

— Tego nie wiem, naprawdę. Nie powiedzieliby mi przecież. Zapłacili za to, żebym przewiózł ich na Kurnoe i nie zadawał zbędnych pytań, co też zrobiłem.

— Kurnoe?

— Och, to taka mała wysepka na północ stąd. O ile wiem, nikt tam nie mieszka... no, może z wyjątkiem partyzantów. Coś ma się tam już wkrótce wydarzyć, a oni bardzo się do tego szykują.

— Możesz mi pokazać drogę do tej wyspy? Oczywiście Kelly'ego rozszerzyły się nieznacznie.

— Hej, proszę pani, należy wiedzieć, w którym miejscu skończyć. Jest pani sama, a tych facetów jest setka i nie są zbyt mili, proszę mi wierzyć!

Dave pokręcił głową i powiedział:

— Pokaż pani to, o co prosi, Kelly, chyba że chcesz się z nią droczyć do samego rana.

Kelly wzruszył ramionami.

— Masz przecież mapy, Dave. Przynieś je tutaj, to pokażę, gdzie to jest. Ale musi się tam pani dostać sama, proszę pani. Nie chciałbym, żeby te oprychy widziały, że to ja im panią przywiozłem.

— Świetnie — odparła Flaherty. — Dave, muszę się połączyć z moim kumplem z bazy powietrznej w Japonii.

— Nastawię radio — odrzekł Dave.

—5L^^

Lila wyjęła wielki kawał płótna z jednej ze skrzyń i owinęła nim kilkakrotnie całe ciało.

Potem wyłączyła

53

latarkę, by nie zużywać baterii, i usiadła w ciemno; Również zapas tlenu należało oszczędzać, więc używ butli tylko co jakiś czas. Starła się zebrać myśli i mod:

— Panie — mówiła cicho — nie wiem, gdzie jeste ani czy kiedykolwiek się stąd wydostanę. Proszę, pon mi. Proszę, przyślij ratunek. Błagam...

Przerwała. Czuła, że Bóg jej odpowiada, lecz to, mówił, nie było tym, co chciała usłyszeć.

— Panie Boże, ja potrzebuję pomocy! Nie mogę o t teraz myśleć.

Lecz Jego głos nie zamilkł. Przypominał jej sło Biblii mówiące o tym, że gdy ktoś składa na ołtarzu oii; a przypomni sobie, że jego bliźni ma coś przeciwko niei powinien natychmiast zostawić ofiarę przed ołtarz i odejść; najpierw należy się bowiem pogodzić z blizn a dopiero później składać ofiarę.

Nie mówiła już nic i nie modliła się. To wina t; myślała. To zawsze była jego wina.

— Panie — odezwała się łagodnie, nieco przestras na słów, które zamierzała powiedzieć — nie postępuj ze mną sprawiedliwie. I tak nie było mi łatwo, a Ty do ti wpakowałeś mnie w całą tę historię.

Przypomniała sobie słowa, jakie wypowiedział ojc tuż przed jej wyjazdem z Japonii: „Lila, musisz my.« także o innych. Nie jesteś pepkiem świata”.

— Powinien był ze mną więcej rozmawiać — od wiedziała swoim własnym myśłom. — Od kiedy to naprawdę interesuje go, co ja czuję?

Wtedy Bóg znowu się do niej odezwał, a ona od wiedziała:

— Panie... oczywiście, że myślę o sobie! To ja jes teraz w opałach! To ja cierpię! Ostatecznie grozi mi śm w tej puszcze!

Ja, ja, ja. Bóg zdawał się wyliczać, ile razy powtón to słowo.

— W porządku — odparła niechętnie. — Ja... będę od teraz mówić o tacie i Jayu. Zastanawiam się, co robią teraz, kiedy mnie z nimi nie ma? Ciekawa jestem, czy bardzo im mnie brakuje? — Nagła myśl przyszła jej do głowy. — Ciekawe, czy w ogóle wiedzą, że jestem w kłopotach?

Pan znów do niej przemówił.

Zniechęcona oparła głowę o zimną, metalową ścianę.

— Dobrze, już dobrze. Myślę tylko o sobie.

— Wtedy w bazie lotniczej również myślałam o sobie. Nie powinnam była mówić tego, co powiedziałam.

Cała scena przewinęła jej się przed oczami niczym urywek filmu. Widziała, jak ojciec niesie jej bagaże do odprawy. Widziała ból w jego oczach.

Pamiętała, co wtedy powiedział: „Porozmawiamy o tym później.”

I słyszała niemal swoją odpowiedź: „Uwierzę, jak usłyszę na własne uszy. Ciebie po prostu nic nie obchodzi! Nigdy cię nie obchodziło!”

Widziała, jak boleśnie ugodziły go jej słowa. Trafiała dokładnie w czułe miejsce.

Gwałtownym ruchem głowy wymazała tę scenę z pamięci.

— Wtedy nie żałowałam tych słów... ale myślałam, że będziemy mogli jeszcze porozmawiać.

Myślałam, że jeszcze go zobaczę. — Poczula, jak smutek i rozpacz wypełniają jej serce. —

Boże, a co będzie, jeśli ja tu umrę?

Przez chwilę wydało jej się, że Bóg milczy, że jej nie słucha. Potem jednak zrozumiała.

Dawał jej czas, żeby o tym pomyśleć.

niezwykły zakład

Podczas gdy dziesięciometrowa łajba Złego Dave przeciskała się poprzez rafy, doktor Cooper i Jay moi się na własne oczy przekonać, że wyspa Kurnoe z pei nością nie stanowiła atrakcji turystycznej. Był to mały płaski skrawek ładu porośnięty gęsto kokosowymi pa mami. Na zawietrznej stronie wysepki leżała jedyni wioska, bezkształtna zbitka słomianych chat, spośród których wyrastała szkaradna konstrukcja z rdzewiejąci go metalu oraz kawałków starych samolotów pamięci jących czasy drugiej wojny światowej. Jedną ze ścia konstrukcji stanowiło skrzydło japońskiego myśliwie Zero z wyraźnie widocznym znakiem Wschodzącej Słońca.

— Jedynymi ludźmi, którzy kiedykolwiek interesowi li się tą wyspą — tłumaczył Dave — byli Japończyq w czasie wojny. Podobno mieli tu ukryty pas startowy.

Doktor Cooper przyglądał się wiosce przez szkła la netki. — Pas startowy? Wystarczająco duży, żeby wylądć wał na nim starlifter?

— Być może, jeśli taki pas w ogóle tam jest oraz jeśli ma się wystarczająco wielu ludzi, by móc go naprawić i wydłużyć.

— Och... na brak ludzi nie mogą narzekać. Dave pokiwał smętnie głową.

— Kelly mówił prawdę. Pełno tu komunistów i chyba nie cieszą się z naszej wizyty. Doktor Cooper podał lornetkę synowi, który natychmiast przytknął ją do oczu. Ujrzał grupę ciężko uzbrojonych, groźnie wyglądających osobników, którzy tłoczyli się na przystani, wpatrując się w obcą łódź przybijającą do wyspy.

— Jak my się przedostaniemy przez tę zgrają? — spytał Jay.

— Ciekaw jestem, jak pani Flaherty się przedostała? —zastanawiał się doktor.

Dave pokręcił głową.

— Cóż, mówiłem jej, żeby nie wyruszała sama, ale nie posłuchała; bała się, że zgubi ślad, jeśli będzie musiała na was czekać. Ale nie ma się co martwić. Ona ma swoje sztuczki, zobaczycie.

— A na czym ma polegać nasza sztuczka? — zapytał Jay.

— Och, to całkiem proste. Jesteście chrześcijanami, znacie Biblię i wiecie, jak należy się zachować. Powiem wam, że jesteście przyjaciółmi księdza Garrisona, misjonarza. Miejmy nadzieję, że za nim zdążą was wypytać o szczegóły, Garrison dotrze na miejsce, a wtedy pójdzie już jak z płatka.

Z niezmałym spokojem Dave pozwolił łodzi łagodnie wpłynąć do przystani. Dwunastu komunistycznych bojówkarzy w ciemnych panterkach już tam na nich czekało z karabinami w dłoniach. Tylko jeden z nich chwycił linę i pomógł przycumować łódź, podczas gdy pozostałych jedenastu groźnym wzrokiem przyglądało się przybyszom.

57

Dave pomachał do nich ręką i uśmiechnął się. Doktor i J zrobili dokładnie to samo.

Dave odezwał się do nich ściszym głosem:

— Znam dowódcę. Zostawcie to mnie.

Potem wskoczył na pomost, by porozmawiać z mi kularnym, śniadym mężczyzną, na którego plecach wis wielki karabin maszynowy. Dave wyrzucił z siebie kilka przyjaznych słów wyjaśnienia w dialekcie filipińskim. I wódca przez przeraźliwie długą chwilę mierzył nieznanym badawczym wzrokiem, po czym zasypał Dav gradem wściekłych pytań i oskarżeń, na które biedny D; starał się odpowiedzieć. Mężczyzna zaniósł się głośny okrutnym śmiechem i dał Dave'owi brutalnego szturch; ca. Dave starał się jeszcze coś wytłumaczyć, lecz dowódca miał już dość rozmowy. Najwyraźniej nie spodobały mu się wyjaśnienia przybysza.

Kategorycznym tonem rzuć coś do swych podwładnych i nagle wszystkie lufy skierowały się na trójkę intruzów.

Dave podniósł w górę obie ręce i przetłumaczył wściekłe okrzyki dowódcy.

— Lepiej podnieście ręce do góry. On chce, żebyś wysiedli z łodzi i to szybko!

Doktor Cooper spojrział na syna.

— Sztuczki Dave'a się skończyły.

Z uniesionymi w górę rękami zaczęli wychodzić z dzi. Partyzanci rzeczywiście nie byli zbyt miłymi facetami. Na domiar złego cuchnęli odrażająco.

Wtem od strony wioski rozległo się głośne wołanie

— Randy! Jack! Niech Bogu będą dzięki, co za nieśmiała dzianka!

Oczy wszystkich zwróciły się na rubasznego, opalałego mężczyznę o pucułowatej twarzy, który z szczerze otwartymi ramionami i uśmiechem od ucha do ucha drgnął do nich od strony wioski. Obok niego podążało dwóch tubylców w spódnickach z trawy, którzy z radosnym

58

miechem powtarzali coś w swym ojczystym języku. Gniew żołnierzy znacznie zelżał.

Niektórzy zdawali się wręcz zawiedzeni.

— Jerry, kopę lat! — krzyknął radośnie Dave, po czym rzucił się pucułowatemu mężczyźnie w ramiona. Nastąpiły serdeczne przywitania, głośne okrzyki i śmiechy.

— Jerry! — krzyknął doktor Cooper, wyciągając ręce w geście powitania.

— Jerry! — powtórzył Jay, uznając, że jest to najlepsze rozwiązanie.

Jerry schylił się i pomógł im wydostać się z łodzi.

— Co tam u was słychać? — spytał.

— Och, w porządku, wszystko w porządku — odparł doktor.

— A u Mary?

— Też dobrze.

— Myślałem już, że nigdy się tu nie zjawicie. Słuchajcie, przygotowałem dla was pokój przy kaplicy. Chodźcie, wszystko wam pokażę. Macie bagaż?

— No...

— Moki, Sulu! — zwrócił się Jerry do dwójki tubylców, po czym wydał im kilka poleceń. Natychmiast wskoczyli do łodzi i złapali za pakunki Cooperów. — Chodźcie, czas coś zjeść.' Z tymi słowami pulchny mężczyzna zaczął torować im drogę przez zwartą grupę partyzantów. Trzech przybyszów podążyło za nim w stronę wioski, a kilka metrów za nimi dwóch tubylców zmagало się z ciężkim bagażem.

— Uśmiechajcie się — szepnął do nich Jerry.

Więc uśmiechali się, rozmawiali, wymyślali imiona dla nie istniejących osób, klepali się po plecach, robili wszystko, co, jak im się zdawało, starzy znajomi spotykający się po latach powinni robić. Wchodzili coraz głębiej w las, aż w końcu znaleźli się poza zasięgiem wzroku partyzantów. 59

Vi

— Tędy — rzucił Jerry i poprowadził ich ścieżką wśród wysokich palm.

Po paru chwilach stanęli przed niewielką budowlą h ścian, na którą składały się tylko cztery słupy i słomiany dach. Pod dachem stały rzędy zbitych z bali ławek ustawiona do nich przodem ambona.

— Witam w kaplicy na Kurnoe, placówce misyjnej Morzach Południowych! — Wyciągnął dłoń i dodał.: Jestem Jerry Garrison. Jak się naprawdę nazywacie, Ran i Jack?

— Doktor Jake Cooper.

— A ja Jay.

— Mam nadzieję, że znacie jakąś Mary... Doktor Cooper uśmiechnął się przyjaźnie.

— Tak, rzeczywiście mam kuzynkę imieniem M: i o ile mi wiadomo, ma się dobrze.

— To dobrze. Może nie powinienem był używać pogańskiego wybiegu, ale... Sami widzicie, że przybyliś tu w nie najlepszym momencie. Nie wiem, czy szuka kłopotów, ale tu znajdziecie ich pod dostatkiem.

— Szukają zaginionego samolotu — wyjaśnił Da — Na pokładzie była córka doktora Coopera.

Oczy Jerry'ego stały się większe.

— Aha, więc o to chodzi! — Pokiwał głową sam siebie, zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł zniżon głosem — Ci komuniści są tu już od jakiegoś miesi? Pracują nad starym japońskim pasem startowym nadrug końcu wyspy.

Doktor Cooper i Jay wymienili podekscytowane sp rzenia.

— Dzięki Bogu — odparł doktor — zdaje się, podążamy właściwym tropem.

Jerry'emu nie było jednak do śmiechu.

— Niech pan postępuje bardzo ostrożnie, dobrze pi radzę. Ci ludzie przyjechali tu w jakiejś konkretnej sprai

60

i bardzo niechętnie patrzą na obcych. Sam pan widział ich mordercze spojrzenia. — Przynęął się bliżej i wyszeptał - Zdaje się, że coś poszło nie po ich myśli. Nic mi co prawda nie powiedzieli, ale z tego, jak się zachowują i co mówią, widzę jasno, że coś się stało. Ich plany wzięły wleńb.

— Co pan ma na myśli?

— Trzy dni temu wszyscy wybrali się na drugi koniec wyspy, na pas, i na coś tam czekali, lecz nic się nie wydarzyło, nie przyleciał żaden samolot. Od tamtej pory są strasznie zdenerwowani i podejrzliwi wobec nieznanymych. Jeśli uznają, że ktoś bez wyraźnego powodu kręci się po okolicy, potrafią być bezwzględni. Cieszę się, że w porę zauważyłem waszą łódź. Mogli zastrzelić was na miejscu, nie przesadzam.

— Czemu tego nie zrobili? — spytał Dave. Jerry uśmiechnął się.

— Mmm, jestem dla nich dobry. Karmię ich, daję dach nad głową. Zwykle więc tolerują obecność moich przyjaciół. Podobnie było z pewną kobietą, która tu niedawno przybyła... Dave wiedział, o kogo chodzi.

— Margaret Flaherty?

Jerry obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. -Kto?

— Piękna kobieta z długimi, rudymi włosami, mniej więcej tego wzrostu...

Jerry pokręcił głową.

— Nie, wielkie nieba, nie! Myślisz, że piękna kobieta przetrwałaby chociaż godzinę pośród tej dzikiej watahy? Nie, to była stara handlarka z jednej z południowych wysp zajmująca się sprzedażą materiałów. Przekonałem partyzantów, że powinni kupić trochę materiału na łaty do ubrań, więc wpuścili ją na wyspę.

Tym razem Dave posłał Jerry'emu zdziwione spojrzenie.

61

^

— A... gdzie moglibyśmy znaleźć tę kobietę?

— Och, myślę, że jest w sklepie. Wiesz, w tej stan szopie z kawałków japońskiego myśliwca. Sklep na Kurnoe, podobnie jak magazyn Dave'a Pulosape, był ośrodkiem życia wyspy. W tym mały baraku poskładanym z kawałków żelastwa nieustannie coś kupowano i sprzedawano, opowiadano przeróżne historie, popijano rozmaite alkohole. Wzburzone t przytłumieniu już kilkakrotnie zmywały ów ciasny przytłumienie z powierzchni ziemi, za każdym jednak razem były odbudowywane przy użyciu tych materiałów, które ak rat przyniosło morze — ostatnim razem były to reszki starego samolotu.

Tego dnia sklep pełen był znudzonych beczynności komunistycznych rebeliantów, którzy otaczali zwart) kręgiem ustawiony pośrodku stolik, zrobiony zres z ogona samolotu. Przy stole siedziało naprzeciwko siebie dwoje ludzi: silny, przystojny tubylec o muskularnym i ciemnej skórze, oraz stara handlarka z pobliskiej wpy, siwa kobieta ubrana w różnobarwne, jaskrawe tkaniny służące jako reklama sprzedawanych przez nią wyrobów

Na stole pomiędzy nimi leżał niewielki stos moich złotych medalionów na łańcuszku oraz blaszane talerze.

Na każdym z talerzy leżała poruszająca się, żywa m wielkich ślimaków o długich, ruchliwych rożkach. Ki pustych skorupki na obu talerzach świadczyły o tym. część ślimaków zdążyła już zniknąć w gardłach grac Był to bowiem zakład.

Mężczyzna sięgnął po kolejnego ślimaka, oderwał od talerza, przytrzymał skorupkę w dłoni, po czym wy( bał ślimaka specjalnym widelcem. Z wojowniczym w] zem twarzy odrzucił w tył głowę i wrzucił sobie ślim wprost do gardła, a potem popił szklaneczką wódki.

Oczy widzów zwróciły się na starą kobietę. Pomii czenie wypełniło się szmerem pełnym napięcia.

62

Kobieta uśmiechnęła się lekceważąco, obnażając przy tym mocno zdekompletowane użębienie, po czym zrobiła dokładnie to samo co jej przeciwnik, z tą jedynie różnicą, że popiła ów przysmak szklanką wody.

Teraz z kolei uwaga publiczności skupiła się na mężczyźnie. Wyglądał na nieco zemdlonego, lecz pogardliwy uśmiech nie schodził mu z ust, gdy pewnym ruchem nabił na widelec dwa ślimaki i połknął je oba jednocześnie, popijając kolejnym łykiem wódki.

Oczy przeniosły się na kobietę. Przez chwilę namyślała się nad następnym ruchem, po czym zachichotała cicho, nabiła cztery ślimaki i wrzuciła je sobie do ust, a potem popiła wodą. Rozległ się cichy pomruk uznania i oczy wszystkich znowu zwróciły się ku mężczyźnie. Co zrobi? Czy wyrówna stawkę, czy też będzie próbował ją podwyższyć?

Tubylec wziął głęboki oddech, wyprostował ciało, by zmniejszyć nacisk na przepiętny jedzeniem brzuch, a potem... sięgnął po sześć ślimaków, czym doprowadził tłum do istnego szaleństwa. Ślimaki po kolei zniknęły w jego ustach —jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Z

nadętymi do granic wytrzymałości policzkami, długo żuł gąbczastą masę. Potem przełknął kilka razy i desperackim ruchem chwycił za szklanekę z wódką.

Stara kobieta zastanawiała się nad następnym posunięciem, cały czas obserwując jednak swego przeciwnika. Usta miał mocno zaciśnięte, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się jakiejś nagłej eksplozji. Na ten widok handlarka uśmiechnęła się szeroko, wydała z siebie radosny okrzyk i nałożyła sobie na talerz sześć... siedem... osiem ślimaków. Mężczyzna mętym wzrokiem przyglądał się, jak starucha wydłubuje jednego ślimaka po drugim, a jego twarz stawała się coraz bardziej blada.

Z ośmioma gotowymi do zjedzenia ślimakami w dłoni, handlarka odrzuciła w tył głowę, uniosła ślimaki do ust i...

63

Tubylec gwałtownie przycisnął sobie rękę do ust i wy] biegł z pokoju. Partyzanci wybuchnęli głośnym śmiechem. Stara kobieta odłożyła osiem ślimaków z powrotem na talerz, uśmiechnęła się z ulgą, po czym odsunęła talerz na bok. Ktoś sprzątnął ślimaki ze stołu.

Pojedynek by skończony.

Handlarka sięgnęła po monety i medalion, wrzuciła je do małej sakiewki i wstała przy aplauzie widzów którzy przystąpili do rozliczania zawartych wcześniejszych zakładów. Wielu postawiło na kobietę, więc teraz wydzielali się wniebogłosy z radości. Inni stawiali na mężczyznę, lecz mimo to porażka nie popsowała im dobrego nastroju wywołanego niezwykłym przedstawieniem.

Jeden z przegranych, atletycznie zbudowany dryblas nie potrafił się jednak pogodzić z utratą pieniędzy. W momencie gdy kobieta zbliżała się do drzwi, zaszedł jej drogę z nieprzyjawnym wyrazem twarzy. Dwóch innych rzezi mieszkańców dołączyło do niego z obu stron i razem stworzyli trudną do sforsowania żywą ścianę.

Kobieta przystanąła i spojrzała na nich pytająco wzrokiem.

Dryblas wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. Chciał sakiewkę. Jego dwaj kompani uderzali pięściami w dłoń w bardzo wymownym geście groźby.

— Hej, a wy tu czego? — rozległ się nagle głos zza pleców.

Odwrócili się ze zdziwieniem, by zobaczyć, kto mówi. Dwaj mężczyźni oraz młody chłopak stali w drzwiach sklepu.

Kobieta bez chwili namysłu rzuciła sakiewkę mężczyźnie stojącemu w środku.

Mężczyzną tym był Jake Cooper.

— Uwaga! — wrzasnął Zły Dave, gdy trzech oprysków rzuciło się na nich z pięściami.

64

Ułamek sekundy później prawy sierpowy Dave'a wylądował dokładnie na podbródku pierwszego z lewej. Doktor Cooper zdołał odepchnąć środkowego. Jay dał nura pod nogami trzeciego napastnika i wstał za jego plecami, dokładnie w chwili, gdy ojciec rzucał mu sakiewkę.

Dwóch innych partyzantów rzuciło się na Jaya, który zdążył wskoczyć pod stół i przeczołgać się po podłodze poza zasięg napastników. Jeden z nich chciał chwycić go za stopę, lecz w ostatnim momencie stara kobieta zdołała podstawić mu nogę, tak że walnął głową o kant stołu i zakończył walkę na podłodze.

Tłum rozwścieczonych komunistów rzucił się na chłopca, który w ostatnim momencie dojrzał kobietę na wolnym polu i wspaniałym rzutem przekazał jej worek z pieniędzmi. Teraz napastnicy zwrócili się w jej kierunku. Pierwszy z nich został jednak oślepiony precyzyjnym uderzeniem palca w oko i padł na podłogę, tarasując drogę innym. Dało to kobiecie moment swobody, który błyskawicznie wykorzystała by rzucić sakiewkę z powrotem do doktora. Podanie przejęte przez przeciwnika! Chudy, brudny rebeliant przechwycił sakiewkę w powietrzu i z głośnym okrzykiem podniósł ją do góry w geście zwycięstwa.

Niedługo jednak cieszył się swą zdobyczą. Oto Jay wyrósł przy nim jak spod ziemi, wyrwał cenną zdobycz z rąk zaskoczonego partyzanta i rzucił się do ucieczki. Rebeliant chwycił Jaya w pasie i podniósł go do góry, to jednak dało chłopcu znakomitą sposobność kopnięcia w twarz innego z napastników, który potoczył się na ziemię. Pierwszy z rebeliantów jeszcze przez chwilę trzymał Jaya w stalowym uścisku, ponieważ jednak uścisk taki całkowicie angażował obie ręce, rzezimieszek był zupełnie bezbronny wobec ataku kobiety, która rozbiła mu na głowie butelkę po wódce. Uwolniony w ten sposób chłopiec jeszcze raz rzucił sakiewkę ojcu.

65

Doktor Cooper wykonał błyskawiczny skłon w przód przyjął na plecy ciężar rozpedzonego rebelianta, a czym wyprostował się gwałtownie, wyrzucając nieś; człęśnika za kontuar lotem nurkującym. Precyzyjne ud< rzenie ciężkiego buta unieszkodliwiło drugiego na pastnika, dokładnie w chwili, gdy stara kobieta prześlii nęła się obok nich w drodze do drzwi. Szybkim ruchej przejęła sakiewkę z rąk doktora, po czym z całych si rzuciła się do wyjścia, goniona przez kolejnego reb< lianta.

Nagle drzwi zamknęły się z trzaskiem, a zaskoczoc rebeliant wszedł w niespodziewanie bliski z nimi kontakt Nieprzytomny osunął się na ziemię.

— Ojej! — zawoła kobieta z udawanym współczuciem, wyglądając zza drzwi.

W ruch poszły karabiny. Zabawa stawała się niebe: pieczna.

Zły Dave w genialnie prosty sposób powstrzymał ni korzystny rozwój sytuacji.

— Hej, spokój! — krzyknął i zadziwiająco szybl zwrócił na siebie uwagę dokładnie wszystkich.

Być może stało się tak dlatego, że dzierzył w dło laskę dynamitu z zapalonym lontem.

W mgnieniu oka wszyscy zamienili się posągi. A p tern, w ułamku sekundy, wszystkie otwory znajdujące s w budynku stały się drzwiami. Partyzanci i tubylcy ile f w nogach opuszczali zagrożony teren, rozbiegając się v wszystkich kierunkach.

— Idziemy! — odezwał się Dave, trzymając dynan wysoko nad głową, tak by każdy mógł go wyraźnie w dzieć.

Ruszył do drzwi, a za nim obaj Cooperowie i sta kobieta. Wszyscy z wielką grzecnością usuwali im s z drogi. Wydostawszy się ze sklepu, biegli w stronę las ku kaplicy.

66

Doktor Cooper z niepokojem zauważył, że lont staje się niebezpiecznie krótki.

— Dave, wyrzuć to gdzieś! Zabijesz nas wszystkich!

— Dopiero, gdy będziemy bezpieczni!

— Bezpieczni? — wrzasnął Jay. — Wcale nie czuję się teraz bezpiecznie!

— Och, nie martwcie się tak bardzo!

W końcu dotarli do kaplicy. Lont miał już nie więcej niż dwa centymetry długości.

Cooperowie rzucili się w krzaki, kryjąc głowy w ramionach.

Dave i stara kobieta stali przed kaplicą i spokojnie obserwowali tłący się lont.

Parę sekund później lont się dopalił.

— Mmm, nieźle — orzekł Dave, przyglądając się lasce dynamitu.

Po raz pierwszy kobieta wydała z siebie głos. Jak na starąPolinezyjkę mówiła zaskakująco doskonałą angielszczyzną z silnym, irlandzkim akcentem.

— Dave, przyjdzie kiedyś dzień, że po raz drugi użyjesz tej samej sztuczki na tych samych ludziach i co wtedy będzie?

Jeden po drugim Cooperowie wysunęli głowy zza zasłony traw i spojrzeli w stronę, gdzie stali Dave i kobieta. Z bezpiecznej odległości przyglądali się, jak Dave rozwija dynamit, a potem zdejmuje skórę z tego, czym w rzeczywistości ów dynamit był — czyli z banana. Ugryzł kawałek, a potem poczęstował kobietę, która najpierw wyjęła z ust sztuczną, szczerbatą szczękę, a dopiero później się poczęstowała.



Dave zaśmiał się głośno z pełnymi ustami.

— Hej, chłopaki, wyłaźcie stamtąd! Zjedzcie banana w towarzystwie perły Południowego Pacyfiku i reszty świata, pani Margaret Flaherty!

Doktor Cooper i Jay spojrzeli na siebie z głośnym westchnieniem.

67

— Synu — odezwał się doktor: — zostaliśmy zrobić balona.

Gdy wyszli z ukrycia, stara kobieta zdjęła z głowy siwą perukę i potrząsnęła długimi, rudymi włosami. Wyciągnęła dłoń w geście powitania.

— Doktorze Cooper! Wiele słyszałam o panu i paich dzieciach od naszego wspólnego przyjaciela, pułkownika Williama Griffitha.

Uścisnęła jej rękę, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia,

— Miło mi panią poznać. To mój syn Jay. Przywitała się z chłopcem.

— Witaj, Jay.

Dave podał jej kawałek wilgotnej tkaniny, za pomocą której starła sobie z twarzy tubylczą śniadłość oraz stan zmarszczki. Oczom zdumionych Cooperów ukazała jasna, delikatna skóra ładnej Irlandki.

Dave uśmiechnął się, wyraźnie z niej dumny.

— Ciekaw byłem, jak uda ci się przetrwać wśród tych oprychów.

— Nie było łatwo. Przez jakiś czas wszystko szło dobrze, ale potem sprawy przyjęły niebezpieczny obrót. Na szczęście zjawiliście się we właściwym momencie. Jestem wam bardzo wdzięczna.

— Tylko po co to wszystko było? — spytał doktor. Zamieszanie było takie, że wszyscy mogliśmy zginąć, i co? Za sakiewkę z pieniędzmi?

Wyjęła sakiewkę z kieszeni.

— Nie, nie o pieniądze chodziło. Nie ma takiej surduty dla której zgodziłabym się połknąć to świństwo. Ten czarny wiek miał medalion, na którym wygrawerowane było imię Pomyślałam, że może to pana zainteresować.

Sięgnęła do sakiewki i wyjęła z niej medalion. Był mały, złote serce na łańcuszku.

Odwróciła medalion i włożyła go na dłoń doktora.

68

Doktor Cooper rozpoznał go natychmiast. Jay także. Obaj dobrze pamiętali, jak brzmi wygrawerowana na odwrocie dedykacja:

„Mojej córce Lii na trzynaste urodziny — ojciec”.

+J Stracona Si L^ nadzieja J

Doktor Cooper i Jay nie potrafili ukryć podniecenia

— Ten człowiek, z którym się pani założyła... — odezwał się doktor. — Skąd on to wziął?

Pani Flaherty pokręciła głową.

— Nie chciał powiedzieć. Przynależ, że powie, jeśli wygram zakład, ale teraz, po tym, co się wydarzyło.. Przecież nie wrócę tam teraz, żeby z nim porozmawiać.  
— Doprawdy niewiarygodna jest łaska Pana! Jesteś] na właściwym tropie, ale...  
— Zupełnie nic pani nie powiedział? — dopytywał s« Jay.  
— Tylko jedno — odrzekła Flaherty. — Mówił, a dostał ten medalion od starego poławiacza pereł.  
— Tak, szukaj wiatru w polu — wymamrotał Dave. -Na wyspie aż się roi od poławiaczy pereł.  
— Chodźmy — rzucił doktor. — Zobaczmy, co wi na ten temat nasz misjonarz.  
Jeny przyjął ich powrót z uczuciem ulgi oraz z wielk ciekawością co do osoby niedosłej handlarki. Opowie

70

fak,\\ tom, q i&ta&ńs, qtcl q Qtył<m<i\ wjTOasaa "zdaiL,  
jaka potem nastąpiła.

— Wdaliście się w bójkę z rebeliantami? — spytał z przerażeniem.  
— O ten medalion — rzekł doktor i pokazał medalion !<tj'c,mu. — N.a\ez.\j do mo\e\ córki. Musimy się dowiedzieć, skąd ten facet go dosta\.  
Oczy Jerry'ego zrobiły się nieprawdopodobnie wielkie ze strachu.  
— Przede wszystkim musicie natychmiast uciekać z wyspy. Dobrze znam dowódcę rebeliantów. Po tym, co zrobiliście, nie wypuści was stąd żywych. Musicie natychmiast odpłynąć!

I Doktor Cooper nie dał się odwieść od tematu. — Ten człowiek powiedział, że dostał to od starego poławiacza pereł. Nie orientuje się pan przypadkiem, o kogo mu chodziło? Jerry nie zastanawiał się długo.

— Kolo. To na pewno stary Kolo z Tukanii. Jest bardziej śmieciarzem niż poławiaczem pereł. Nurkuje do starych wraków, zatopionych myśliwców i tym podobnych. Zbiera tam różne śmieci, które próbuje potem sprzedać poszukiwaczom pamiątek z czasów wojny lub zwykłym turystom. Nie cieszy się zbytnim poważaniem ze względu na swą niezaradność, ale to jego przede wszystkim bym podejrzewał.

— Tukania?

— To niedaleko stąd. Można dopłynąć w ciągu jednej nocy.

— Dave, zabierzesz nas tam?

— Jasne, doktorze — odparł Dave.

— Zaraz, zaraz! — przerwał im Jerry. — Jeśli macie zamiar udać się na Tukanie, to muszę was przestrzec przed ludźmi, którzy tam mieszkają, przed Sutolo!

— Nie lubią obcych? — spytał doktor.

71

— Wręcz odwrotnie, uwielbiają — odparł Jerry, pol czym dodał — Zwłaszcza na obiad. To kanibale.

— No, pięknie! — zawołał Dave.

— Och, Dave — odparł Jerry — ani ty, ani doktora Cooper nie macie się o co martwić: jesteście za starzy, za 1 bardzo łykowaci. Ale Jay, albo pani Flaherty... no cóż... •;

— Musimy przede wszystkim myśleć o Liii — rzekł doktor. — Chodźmy już lepiej. Jerry, może byłoby lepiej, gdyby poszedł pan z nami?

— Nie, nie, nie czekajcie na mnie. Idźcie już, tylko szybko! Zostanę tutaj i postaram się opóźnić pościg. Nie martwcie się o mnie, dam sobie radę. Dave, powiem ci teraz, jak dopłynąć do Tukanii.

Jerry i Dave odbyli krótką naradę, a potem wszyscy oprócz misjonarza zebrali szybko swoje rzeczy i ruszyli pod osłoną zapadającego mroku w stronę przystani, w której stała łódź Dave'a.

Kilka godzin później, gdy ciemność spowiła wyspę niczym czarny szal, a mieszkańcy wioski szykowali się do snu, kilka tajemniczych postaci zbliżyło się do kaplicy od strony lasu.

Szybko, bezszelestnie przemykały się od drzewa do drzewa, a w ich dłoniach niebieskawo połyskiwały w świetle księżyca lufy karabinów.

Potem trawy rozstały się i kilka par błyszczących oczu zwróciło się w stronę kaplicy. Na kilku rozstawionych pod słomianym dachem pryczach spali goście dwaj podejrzani

Amerykanie, znany w okolicy wyspiarz zwany Złym Dave'em oraz tajemnicza handlarka, która w połykaniu ślimaków nie miała sobie równych.

Pierwszą osobą, która zdecydowała się wyjść z ukrycia i podejść do kaplicy, był dowódca rebeliantów, ten sam

72

ponury typ, który przywitał obcych na przystani. Z groźną miną nakazał swym ludziom, by się zbliżyli. Po cichu weszli do kaplicy i otoczyli śpiących.

Z karabinem gotowym do strzału dowódca podszedł do pryczy doktora Coopera i mocno chwycił archeologa za szyję.

Głowa doktora spadła z pryczy i poduszka wylądowała miękko na podłodze.

Ku zaskoczeniu napastników, chłopak okazał się wsadzonym w śpiwór pniakiem, zaś stara kobieta — zwojem różnokolorowych materiałów. Zły Dave był tylko snopkiem trawy.

Dowódca wpadł w straszliwą złość! Burknął coś do swoich ludzi, po czym cała wataha z karabinami w dłoniach pognąła do chaty misjonarza. Jednym kopniakiem dowódca otworzył kruche drzwi chaty i ujrzał śpiącego w łóżku duchownego.

Ciemność ożyła oślepiającymi błyskami. Ilość ołowiu, ipką wypluły z siebie lufy karabinów, mogła wystarczyć do zabicia niejednego, lecz kilkunastu ludzi.

Zrzucili z łóżka podziurawiony koc.

John Garrison okazał się słomianą kukłą.

Dowódca wydał parę rozkazów, po czym cała banda pognąła na przystań. Łódź Złego Dave'a zniknęła. Łódka j handlarki stała przy brzegu, lecz już po chwili zatoneła podziurawiona gradem kul. Wściekły herszt bandy zebrał swych ludzi, by omówić z nimi plan dalszego działania.

Nie widząc dnia ani nocy, nie miała sposobu, by określić, ile czasu spędziła już w tej zimnej, ciemnej krypcie. Lila modliła się tak długo, aż brakło jej słów; serce miała

73

puste, a umysł otępiały. Zasnęła na jakiś czas z mas<sup>^</sup> tlenową na twarzy, by nie udusić się podczas snu.

Nic nie uległo zmianie, gdy się obudziła. Koszmar trwał dalej. Chłodny, stalowy kontener nadal otaczał ją ze wszystkich stron; nadal panowała w nim idealna cisza. Mimo to dziewczynka odzyskała jasność umysłu i była gotowa podjąć jakieś działanie, gdyby tylko wiedziała jakie.

Przez chwilę przyglądała się w świetle latarki ciężkiemu włazowi. Jedyne wyjście z blaszanej puszkii prowadziło właśnie tamtędy. Nie miała pojęcia, co znajduje się po drugiej stronie, lecz był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Gdyby tylko mogła... jakoś ten właz podważyć, zrobić chociaż małą szparkę. Musiał być jakiś sposób ni otwarcie pokrywy.

Uważnie zbadała mechanizm. Kłamka znajdowała się po drugiej stronie i było niemal pewne, że od środka nie da się zdziałać. Przyjrzała się krawędzi włazu. Mocik przylegała do powierzchni pokrywy.

Przysunęła do siebie torbę z narzędziami, wyjęła z niej wielki śrubokręt i wetknęła go w spójnię pomiędzy włazem i pokrywą. Nie była zaskoczona, że właz ani drgnął. Była to solidna konstrukcja, która z zasady nie powinna ustępować trzynastoletniej dziewczynie. No tak, pomyślała Lila. Nadal niewiele wiem o niej, w którym miejscu się znajduje. Postanowiła dowiedzieć się więcej. Wiedziała już, że zawiera torbę z narzędziami, więc odsunęła ją na bok. Cóż jeszcze znajdowało się w tym stalowym grobowcu? Rzecz, która od razu rzucała się w oczy, była olbrzymia, prostokątna skrzynia, która zajmowała dużą część wnętrza. Od niej postanowiła zacząć. Ostrożnie przesunęła się do góry, czując jak kontener kołysze się z każdym jej ruchem, aż wreszcie dotarła do skrzyni. Na jej powierzchni nie było żadnych widocznych oznaczeń. Było to wielkie, gładkie pudło z drewna z wi-

74

kiem przybitym gwoździami. Ostrożnie obeszła skrzynię dookoła w poszukiwaniu jakichś napisów czy oznaczeń oraz słabych miejsc, które umożliwiłyby jej otwarcie. Nie znalazła niczego.

Powoli wróciła po torbę z narzędziami i przytargała ją pod skrzynię. Łom powinien wystarczyć.

Wcisnęła koniec łomu w szparę pod wiekiem i zaczęła napierać. Wieko okazało się bardziej przyjazne od włazu — odeszło bez problemu. Wyjęła jeden gwóźdź, potem drugi, trzeci i następne umieszczone wzdłuż kolejnych boków wieka. Metalowa kłapa była gotowa do podniesienia. Jednym zdecydowanym ruchem zsunęła wieko i w bok.

Zawartość skrzyni opakowana była w styropianową powłokę. Szybko rozsunęła styropian na boki.

„Cóż to może być?” Wyglądało jak jakaś maszyna rodem z filmów science fiction, coś jak robot, albo satelita. Miało długi, cylindryczny tułów z błyszczącego metalu i szkła, na którego końcu, niczym głowa robota osadzona i na wąskiej, obracającej się szyi, tkwił peryskop, albo kamera, czy też jakieś inne dziwne urządzenie z jedną wielką czerwoną soczewką, która nadawała całości wygląd jednookiej istoty z obcej planety.

Rozsunęła szerzej styropianową powłokę. Jej oczom ukazały się cienkie, pajęczne odnóża, mocno podwinięte, by mogły zmieścić się w skrzyni, oraz coś w rodzaju metalowej osłony przytwierdzonej za pomocą śrub.

Złapała za śrubokręt i zaczęła odkręcać śruby. Zadanie okazało się łatwe. Odsunęła osłonę.

Ach! Jakaś tablica rozdzielcza. Przełączniki, przyciski, wskaźniki. Przyglądała się temu przez dłuższą chwilę, starając się dojść, czym jest to dziwne urządzenie. Szkoda, że nie było instrukcji obsługi. „Jak to włączyć? Może tym przyciskiem tutaj?”

Wcisnęła guzik.

Trzy czerwone diody zabłysły jasnym światłem, aż podskoczyła z zaskoczenia. I nic więcej. Jeszcze raz nacisnęła guzik i światełka zgasły. Nacisnęła po raz kolejny i światełka się zapaliły. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, nie działo się nic więcej. „To niewielkie odkrycie, ale zawsze coś.” Wyłączyła latarkę i zauważyła, że czerwone diody dostarczają wystarczająco dużo światła, by mogła widzieć wewnątrz pokrywy.

„O, jeszcze jakiś przycisk z napisem »Aktywacja«”. Przez chwilę zastanawiała się, czy go nacisnąć, nie miała bowiem pewności, czym może to grozić.

Trzymając się możliwie jak najdalej od tajemniczego urządzenia, Lila wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik.

Nic.

Rozluźniła się i nacisnęła jeszcze raz, by wyłączyć to, co być może wcześniej włączyła.

Tak... a ta dźwignia? Była to niewielka rączka długości może pięciu centymetrów, która przypominała jej joystick do gier komputerowych. Z grammi radziła sobie nieźle, może więc uda się jej zziałać coś tym razem. Spróbowała. Nic się nie stało.

Jeszcze raz nacisnęła przycisk „Aktywacja”, a następnie przesunęła dźwignię do przodu. Brzęczący dźwięk poderwał ją na równe nogi. Puściła dźwignię i dźwięk zamilkł. Brzęczenie dobiegało z głowy robota. Głowa zmieniła położenie. Wielkie czerwone oko patrzyło teraz trochę bardziej w bok. Jeszcze raz poruszyła dźwignię. Głowa obróciła się na wąskiej szyi, a oko skierowało się dalej w bok. Przesunęła dźwignię w drugą stronę i głowa powróciła do swego pierwotnego położenia, z okiem wpatrzonym prosto przed siebie.

„Nieźle Lila, robisz postępy, przynajmniej w wypadku tej maszyny”.

Jednak po półgodzinie dalszych eksperymentów z dziwnym urządzeniem Lila dała za wygraną. Nauczyła

76

się co prawda zapalać światełka i obracać głową dziwnego robota, lecz nic poza tym, a ta wiedza z pewnością nie mogła jej pomóc w wydostaniu się z tego miejsca.

Przez chwilę myślała w skupieniu. „Może to styropianowe opakowanie okaże się przydatne?”

Znalazła jakąś torbę z częściami zamiennymi i opróżniła jej zawartość, a potem nawpychała do środka styropianu. Uśmiechnęła się. Dobry pomysł. Będzie miała coś w rodzaju boi ratunkowej na wypadek, gdyby udało jej się stąd wydostać.

Wydostać się stąd — najtrudniejsze nadal było przed nią.

I Spojrzała w stronę wjazdu. Na samym jego środku znajdowała się wielka płyta przymocowana kilkunastoma sworzniami. Być może pod nią znajdował się mechanizm zamka. Mogłaby poluzować sworznie za pomocą któregoś z kluczy, a potem... cóż, warto było spróbować.

Ześliznęła się w dół do wjazdu i po krótkiej chwili od-

\\aVsLtag toMe, odpotdm kluci. ftóotyfc %q mpk^N-

szy z brzegu sworzeń i ciężarem całego ciała naparła na klucz. Sworzeń zaczął się powoli obracać. Po paru mocniejszych pchnięciach obracał się już całkiem swobodnie, a już po chwili trzymała go w ręku. Jeden po drugim zdjęła sworznie z płyty i dla bezpieczeństwa wsadziła je do torby. Potem zdjęła też płytę.

Rzeczywiście, w środku znajdował się jakiś mechanizm, bardzo zresztą podobny do zwykłego zamka. Wiedziała już, że gruby bolec pośrodku porusza znajdującą się na zewnątrz klamką. Teraz wystarczyło tylko go przekręcić.

Znalazła odpowiedni klucz i nałożyła go na bolec. Obleciał ją nagły strach. Co będzie, jeśli wjazd nagle się otworzy? Całym ciałem przylgnęła do powierzchni wjazdu, a potem, bardzo ostrożnie i bardzo powoli, obróciła bolec o ułamek milimetra.

Zamek działał.

77

— Boże... chroń mnie, proszę... — modliła się.

Sięgnęła po butlę z tlenem, przypięła ją sobie do paska i założyła maskę na twarz.

Znow cYw/yctia za klucz v obrócfca bolec o kolejne milimetry, po czym dokładnie obejrzała spojenie pomiędzy wjazdem a pokrywą. Ani śladu wody, czy jakiegokolwiek przecieku; nic.

Przekręciła bolec jeszcze dalej. Zdawało jej się, że słyszy odgłos uciekających skądś bąbelków. Dźwięk ustał jednak równie szybko jak się zaczął.

Jeszcze trochę dalej. Jest. Ujrzała niewielki wyciek u dołu wjazdu, nic naprawdę poważnego. Jeszcze troszeczkę...

Niespodziewanie wjazd wystrzelił do wewnątrz! Siła uderzenia rzuciła dziewczynkę na stalową ścianę kontenera. Uderzyła głową o coś metalowego i przez moment miała przed oczami całkowitą ciemność. Woda z wielką siłą wlewała się przez otwarty wjazd.

Próbowała zamknąć metalową klapę, lecz była bezradna wobec straszliwego naporu wody.

Kontener zatrzęsł się! Ciężar wody ciągnął go w bok! Zaczął spadać!

Lila unosiła się na powierzchni wody, rozpaczliwie próbując się czegoś chwycić, by nie pozwolić się zalać rozszalałej powodzi.

Kontener osuwał się w dół coraz szybciej, kołysząc się przy tym i podskakując gwałtownie. Lila słyszała drapanie skał i piasku o metalowe dno.

Dziewczynka chwyciła się stalowych żeber wystających ze ściany i zaczęła wspinać się po nich coraz wyżej, by uciec przed podnoszącą się wodą.

Nagle pokrywa z głośnym hukiem uderzyła w skały i zatrzymała się raptownie. Siła uderzenia zrzuciła Lilę do wody, pod której powierzchnią dziewczynka szamotała się przez chwilę, nie wiedząc, gdzie jest góra, a gdzie dół.

78

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała po wynurzeniu się na powierzchnię, były czerwone światełka dziwnego urządzenia. Jeszcze raz wspięła się po stalowych żebrach ku rozświetlającym półmrok diodom.

Kontener zastygł w bezruchu, mocno przechylony w bok. Wielka drewniana skrzynia była przytwierdzona do podłogi, więc nie ruszyła się z miejsca, lecz wiele innych przedmiotów pływało teraz po powierzchni wody, która do połowy wypełniała kontener. Torba z narzędziami najprawdopodobniej znajdowała się na samym dnie, głęboko pod wodą. Lila przysiadła na szczycie skrzyni, by odpocząć i zebrać myśli.

Poczuła kłujący ból w uszach. Ciśnienie we wnętrzu pokrywy wzrosło wraz z napływem wody. To właśnie uwięzione w środku powietrze sprawiło, że woda zatrzymała się na pewnym poziomie, a nie wypełniła całej kapsuły. Podwyższone ciśnienie świadczyło jednak o czymś jeszcze: znajdowała się pod powierzchnią oceanu, być może dość głęboko, choć tego akurat nie potrafiła dokładnie określić.

Zebrała w sobie resztki odwagi, zsunęła się do wody i zanurkowała w poszukiwaniu włazu.

Nie szukała długo. Wysunęła rękę przez okrągły otwór. Skały. Piasek. Ostre koralowce.

Dokładnie zbadała cały otwór, każdy jego milimetr, lecz nie znalazła niczego, co dałoby jej nadzieję. Nie było tam nawet szpary, przez którą mogłaby się przecisnąć na zewnątrz.

Kontener wbił się w dno oceanu.

Lila wypłynęła na powierzchnię i zapłakała. Czowała gniew, rozpacz i strach graniczący z paniką.

Głębokie, błękitne wody Pacyfiku otaczały pokrywę nieruchomą ciszą. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

Zanurzona po szyję w wodzie Lila oparła głowę o zimną, metalową ścianę. Płakała. Na jak długo wystarczy jej tlenu z butli? Czy ktoś w ogóle wie, gdzie ona jest?

79

Kiedyś przepełniała ją wiara i ufność, teraz czuła tylko) rozpacz. Świadomość tego, w jakiej sytuacji się znalazła, zabiła w niej wszelką nadzieję.

Jedyna droga ucieczki została zamknięta.

Pościg

Ze wzrokiem wbitym w gwiazdy i dłonią na sterze, Zły Dave prowadził swą łajbę ku małej wysepce o nazwie Tuka-nia. Doktor Cooper, Jay oraz pani Flaherty część podróży przespali, zaś resztę przegadali, bo było o czym rozmawiać.

— Ci rebelianci zajmują się bardzo brudnymi interesami — powiedziała pani Flaherty. — Oczywiście za wszystkim stoją Sowieci. Naprawdę mi przykro, że najpierw pańska córka, a teraz pan i Jay, zostaliście wmieszani w taką paskudną historię.

Doktor Cooper uśmiechnął się lekko.

— To nam się zdarza dość często, może mi wierzyć. Proszę mi jednak powiedzieć, co panią tu sprowadza?

— Och, oczywiście kłopoty! — odparła z uśmiechem. — Kocham kłopoty i szukam ich! Zajmuję się specjalnymi raportami dla jednej z wielkich agencji prasowych, a najlepszym sposobem pozyskania informacji jest wmieszanie się w tok wydarzeń.

— Teraz wszyscy jesteśmy wmieszani.

— „A powróż potrójny niełatwo się zerwie”. Doktor Cooper rozpoznał cytat.

81

^

— Księga Koheleta. Czytuje pani Biblię?

— Oczywiście, wycnowa/am się w domu, w którym nauczy/am się żyć Stawem Bożym. Czy pan także jeś osobą wierzącą?

Doktor skinął głową.

— Bez polegania na Bogu, nie wiem, jak udałoby nam się przetrwać chwile takie jak ta.

— Jesteśmy więc zgodni co do tego, że los Liii jest bezpieczny w rękach Najwyższego.

— I możemy się modlić.

Pani Flaherty uznała to za znakomity pomysł.

— Tak, to dobry pomysł!

Wzniesli wspólną modlitwę do Boga, by ocalił Lilę i pomógł im ją odnaleźć. Wspólna modlitwa wytworzyła między nimi zupełnie niezwykle więzy wiary i nadziei, wlała pokój w dusze.

Gdy skończyli, doktor spojrział najpierw na zegarek, a potem daleko przed siebie w poszukiwaniu pierwszych znaków wyspy.

— Jestem dobrej myśli. Widać wyraźnie, że Bóg kieruje każdym naszym krokiem.

— Tak, taki właśnie jest Bóg. Gdziekolwiek idę, zawsze mogę być pewna, że On jest ze mną.

— Co robi pani mąż, podczas kiedy pani podróżuje? — spytał Jay.

Pani Flaherty odpowiedziała lekkim uśmiechem.

— Och, na pewno go o to spytam, gdy już znajdę się w Niebie. John zmarł trzy lata temu.

Jay zmieszał się straszliwie.

— Och... przepraszam.

— Nic się nie stało — uspokoiła go szybko. — W twoim pytaniu nie było nic niestosownego, a ja nie boję się o tym mówić.

Jay odetchnął z ulgą.

— Moja mama też zmarła trzy lata temu.

82

Pani Flaherty była wyraźnie poruszona.

— A więc doznaliśmy w życiu podobnej straty. — Spojrzała na doktora Coopera. — Jak miała na imię?

Doktor patrzył jednak w dal wyteżonym wzrokiem, tak że przez chwilę pani Flaherty nie była pewna, czy w ogóle usłyszał pytanie. W końcu jednak odpowiedział, lecz głos z trudem wyszedł mu z krtani.

— Katherine.

— Pracowaliśmy wszyscy przy wykopaliskach w Egipcie — zaczął Jay. — Była tam jaskinia...

— Rzadko o tym rozmawiamy — przerwał mu doktor. Jay chciał opowiadać dalej, lecz twarde spojrzenie

ojca, spojrzenie, które znał aż za dobrze, utwierdziło go w przekonaniu, że nie będzie dalszej rozmowy. — Tak — zgodził się łagodnie — rzeczywiście rzadko.

Pani Flaherty bacznie przyglądała się twarzy doktora.

— Rozumiem — powiedziała po chwili.

Doktor Cooper zdawał się jej nie słyszeć. Odwrócił głowę i zawołał przez ramię:

— Jak tam, Dave?

— Patrzcie uważnie — odparł zapytany. — Jeśli się nie mylę, powinniśmy być już na miejscu.

— Tato, chyba to widzę — rzucił Jay.

— Za lewą burtą, Dave — zawołał doktor.

— Zgadza się. To Tukania.

Czerwona zorza poranka błyszczała na niebie, gdy zbliżali się do brzegu. Wyspa ta była większa niż Kurnoe, wyrastały z niej nawet wulkaniczne wzgórza. W wodach przybrzeżnych nie było raf, więc podpłynięcie do wyspy nie nastroczało większych problemów. Wkrótce znaleźli się na płyciźnie.

R1

— Rejs skończony, dalej płynąć się nie da — oświadczył Dave. — Jay, możesz mi pomóc? Jay pomógł Dave'owi opuścić żagle i łódź powoli zatrzymała się niedaleko od brzegu. Dave zarzucił kotwicę. Doktor Cooper uważnie przyjrzał się plaży. Byłoby z niej wspaniałe miejsce na wakacyjny wypoczynek: gładki, biały piasek ciągnął się w obie strony tak daleko, jak tylko sięgał wzrok, palmy leniwie kołysały się na lekkim wietrze, zaś blade światło księżyca błyszczało na powierzchni czystej jak kryształ wody niczym garść srebrnych klejnotów. Była to doprawdy cudowna sceneria... gdyby niejednostajny, tępy, napawający lękiem odgłos, dalekie dudnienie bębnow, które niosło się po wodzie, przywodząc im na myśl wszelkiego rodzaju przerażające sceny.

— Ludożercy? — domyślił się Jay.

— Zgadza się — potwierdził Dave. — Bębny ludu Su-tolo. Dobiegają z daleka, prawdopodobnie z drugiego końca wyspy. Jeśli dopisze nam szczęście, to może nas nie zauważą.

— A jeśli ten poławiacz pereł jest jednym z nich? m zastanawiała się pani Flaherty. — Być może trzeba będzie pojawić się w wiosce...

— Na półmisku? — spytał Jay.

— Poczekajcie — przerwał im Dave. — Zdaje się, że mamy jeszcze inne kłopoty.

Patrzył w stronę otwartego morza. Wyraźnie słyszeli dobiegający stamtąd warkot silnika.

— Tam — wskazał doktor. Dave złapał za lornetkę.

— Zbyt ciemno, żeby powiedzieć, jakie mają zamiary: przyjacielskie, czy też nie. W każdym razie nie widzę, żeby się uśmiechali.

— Jak duża jest łódź?

— Eem... nie za duża, nie większa niż nasza. Ale ma motor. Jak słyhać, chodzi na pełnych obrotach. Spiesz się do nas.

84

Doktor Cooper rozejrzał się dokoła, rozważając możliwości dalszego działania.

— Sutolo z jednej strony, obcy z drugiej, a w środku nieznana wyspa...

— Mam na dole parę karabinów — odezwał się Dave. — Lepiej wynieśmy je na pokład.

Lila odpoczywała na wieku drewnianej skrzyni, ponad wodą, w ciepłym, czerwonym świetle rzucanym przez tablicę rozdzielczą tajemniczego urządzenia. Zawarła umowę z samą sobą: koniec z rozpaczą, płaczem i krzykiem. I tak nikt nie mógł jej usłyszeć. Nie, w tej sytuacji był tylko jeden właściwy sposób postępowania — szukać drogi ucieczki. Poza tym nie w stylu Cooperów byłoby tak po prostu się poddać.



Uspokoiła się. Wiedziała już, jak wypełnić ten czas, który być może miał być końcem jej życia. Całą swą uwagę skupiła teraz na kontenerze.

Nadal mogła nim poruszać przez przenoszenie ciężaru ciała w przód i w tył. Zaczęła opukiwać stalową kopułę kluczem w nadziei, że różnice w wysokości dźwięków pozwalają się czegoś domyślić. Na ile zdołała się zorientować, górna część była zewsząd zakryta wodą, podczas gdy dolna tkwiła unieruchomiona w morskim dnie. Więc... jeśli udałoby się jej wydostać górą, miałyby prostą drogę na powierzchnię. Jeśli zaś spodziewała się wyjść przez właz, oznaczało to konieczność przekopania się przez pokłady skał, koralowców i piasku. Uznała, że kopanie jest jej jedyną szansą. Miała przecież łom. To mogło się udać. Mocno przycisnęła maskę tlenową do twarzy, po czym zsunęła się do wody i zanurzyła w poszukiwaniu torby z narzędziami. Już po chwili trzymała ją w rękach. Wyjęła łom.

85

Podpłynęła do otwartego włazu. Było tam więcej skały i koralowców niż piasku, więc zanosilo się na ciężką robotę. Z całej siły wbiła łom w skalną bryłę. Odleciał tylko jeden mały kawałek. W takim tempie musiałyby kopać dziesięć lat. Wbiła łom w inne miejsce, ale tylko uderzyła się w rękę.

Wytknęła głowę na powierzchnię, by chwilę odpocząć. Tylko bez hysterii, Lila, powtarzała sobie w myślach. Tylko spokojnie.

„A może gniew byłby lepszy?” — pomyślała. „Boże, muszę przecież coś czuć! To ty mnie w to wplątałeś! Jakim jesteś Bogiem, skoro każesz ludziom tak strasznie cierpieć?”

A potem inna myśl przyszła jej do głowy. „Może to wszystko moja wina? Może zgrzeszyłam i sama wpakowałam się do tego samolotu?”

Pomyślała o ojcu i zapadła się w świat wspomnień. Widziała matkę — radosną, kochającą kobietę, która zawsze była blisko, która naprawdę rozumiała wszystkie problemy Liii, która bardzo kochała swego męża i dzieci. A potem ujrzała ojca — milczącego w samotności, zamkniętego w sobie, niechętnie mówiącego o przeszłości.

— Czasem mam chęć go uderzyć! — krzyknęła do Boga. — Przepraszam, Panie, ale tak właśnie się wtedy czuję. Tęsknię za mamą! Strasznie za nią tęsknię i chciałabym, żeby znów była przy mnie.

Powiedziała to wreszcie. Wreszcie wyrzuciła z siebie to, co ciężkim kamieniem leżało jej na sercu. Miała tylko nadzieję, że Bóg nie gniewał się na nią za brak szacunku dla ojca.

— I wiesz, co jeszcze mnie boli, Panie? — odezwała się głośno. — On nigdy o niej nie rozmawia. To znaczy, można by pomyśleć, że ona nie była naszą mamą, albo że nigdy nie byli małżeństwem, albo że w ogóle się nie kochali! Wiesz, co mi się czasami wydaje? Że jemu jest wszystko jedno! Czasem sobie myślę, że on chce o niej po prostu zapomnieć i... nie potrafię tego znieść! To takie chłodne i wyrafinowane! Jay i ja naprawdę ją kochaliśmy!

86

Lubimy o niej myśleć, lubimy ją wspominać! Ale wiesz, co jeszcze myśleć?

Nie powiedziała tego na głos. Było jej wstyd, że w ogóle mogła coś takiego pomyśleć.

Ale pomyślała: „To wszystko przez niego. To przez niego mama nie żyje. To jego wina.”

Obca łódź zbliżała się z dużą szybkością. Dave, doktor Cooper oraz pani Flaherty siedzieli nisko w łodzi i z karabinami w dłoniach obserwowali nieznajomych przybyszów.

— To mogą być Amerykanie — odezwał się Dave, patrząc przez lornetkę. — W każdym razie są biali.

— Rosjanie także są biali! — wtrąciła pani Flaherty. Już wkrótce wszystko stało się jasne. W ciągu kilku

minut szybka, dziesięciometrowa łódź podpłynęła do łajby Dave'a. Silniki zamilkły.

Na pokładzie znajdowało się dziewięciu mężczyzn, wszyscy z karabinami w rękach. Część z nich ubrana była jak komandosi do akcji w dżungli, reszta zaś — w kombinezony do pracy pod wodą. Wszyscy wyglądali bardzo groźnie. Kiedy dostrzegli karabiny w rękach trojga

ludzi siedzących w żagłowce, natychmiast wycelowali w nich broń, by pozbawić obcych wszelkich wątpliwości.

Jeden z nich, najwyraźniej dowódca, stanął na przedzie łodzi i zawołał:

— Dzień dobry.

Mówił z wyraźnym, amerykańskim akcentem.

— Dzień dobry — odpowiedział Dave, po czym dodał: — Az kim mam przyjemność?

— Porucznik Joe Adams, oddział do zadań specjalnych z U. S. S. Findley. Chciałbym się dowiedzieć, kim jesteście.

Dave podał mu rękę, a następnie po kolei przedstawił swoich przyjaciół.

87

Porucznik Adams od razu przystąpił do sedna sprawy.

— Co was sprowadza na te wody?

— To samo, co zwykle — odrzekł Dave. — I aż do dzisiejszego dnia nikt nas o to nie pytał.

Dlaczego jest to dla pana takie ważne?

Adams stał się chłodny i bardzo rzeczowy.

— 'Ssie odpowiedział pan na moje pytanie.

— A pan na moje.

Doktor Cooper postanowił zapobiec niepotrzebnym spięciom.

— Panowie, panowie, może zaczniemy od początku...

— Ależ Jake — przerwał mu Dave. — Nie widzisz, że ten człowiek wtrąca nos w nie swoje sprawy! Nie podoba mi się to!

Doktor Cooper zwrócił się do porucznika.

— Panie poruczniku, czy może nam pan okazać legitymację służbową?

Z dziwnym wyrazem twarzy Adams spojrzał na swoich ludzi. Widać nikt go o to wcześniej nie prosił. Zniknął na moment pod pokładem, po czym wrócił z marynarskim workiem, z

którego wydobył czarną skórzaną oprawkę. Otworzył ją i podał doktorowi. Była to

legitymacja służbowa, kompletna i z aktualnym zdjęciem; bez wątpienia był tym, za kogo się podawał.

Doktor Cooper uśmiechnął się uprzejmie.

— Dziękuję bardzo. Czy jesteście oskarżeni o złamanie prawa?

— Nie — odparł Adams.

— Czy ma pan prawo nas aresztować?

— Tak, jeśli znajdę ku temu powód.

— Czy znalazł pan już jakiś?

— Jak dotąd nie.

— Więc porozmawiajmy spokojnie, jak przyjaciele. Albo będziemy sobie pomagać, albo...

— Albo będziemy do siebie strzelać — dokończył Dave.

88

— Dave... — upomniał go doktor. — Może lepiej zaprosiłbyś pana porucznika na pokład?

Dave zagryzł wargi, lecz jego upór zmiekkł pod uspokajającym spojrzeniem doktora.

— No dobrze — odparł. — Ale tylko porucznik... i lepiej, żeby nie próbował żadnych sztuczek.

Porucznik wszedł na pokład i usiadł na wskazanym przez doktora miejscu.

— Do rzeczy — zaczął doktor. — Nie mam zamiaru ukrywać przed panem powodu naszej tu obecności. Szukamy mojej córki. Znajdowała się na pokładzie samolotu Sił Powietrznych, który mógł spaść gdzieś w tej okolicy.

Doktor uważnie przyjrzał się Adamsowi. Twarz porucznika nie zmieniła swego rzeczowego wyrazu, może tylko szczęki zacisnęły się nieco mocniej.

— A skąd wiecie, gdzie szukać? — spytał Adams.

— Nie wiemy niczego na pewno. Głównie kierujemy się nie sprawdzonymi pogłoskami i podejrzeniami. Może pan wie coś więcej na ten temat?

Adams kiwnął głową do swych ludzi, którzy natychmiast wzięli całą czwórkę na cel.

— Powiem panu tylko jedno. Znalazłem wystarczający powód, by aresztować pana za zadawanie pytań, doktorze. Wszyscy zostajecie zatrzymani.

Trzej komandosi wskoczyli do żaglówki, by dokonać zatrzymania.

— Proszę oddać broń — rozkazał Adams. Wykonali polecenie, choć nie bez ociągania. Zniecierpliwieni komandosi wyrwali im karabiny z rąk.

— W porządku, wchodźcie do naszej łodzi. Będziemy musieli zabrać was na „Findleya”...

— Poruczniku! — krzyknął jeden z ludzi.

Wzrok wszystkich zwrócił się we wskazanym przez żołnierza kierunku. Jeszcze jedna łódź zbliżała się w ich kierunku z wielką szybkością.

89

— Komuniści! — krzyknął Adams. — Na pokład! Szybko!

Doktor Cooper, Jeny, Dave i pani Flaherty, ponaglani i popychani przez komandosów, szybko przeskoczyli do wojskowej łodzi.

— A co z moją łódką?

— Za wolna. Musimy uciekać!

Z rykiem silnika wojskowa łódź skoczyła do przodu, przewracając część pasażerów na pokład. Ostry, stalowy dziób ciął spienione fale.

Strzały! Kule robiły dziury w ścianach łodzi. Adams i jego ludzie padli na pokład z karabinami gotowymi do strzału.

Wybuch! Przerażony Dave obejrzał się za siebie. W mgnieniu oka jego ukochana łódź zamieniła się w ognistą kulę, a następnie rozpadła na setki płonących kawałków. Jedyne, co mu pozostało, to krzyczeć z wściekłości i rozpacz.

— Mają rakiety — orzekł Adams. — To nie są żarty! Napastnicy znajdowali się coraz bliżej. Byli to z całą

pewnością komunistyczni rebelianci, być może ci z Kur-noe. Ich karabiny wyrzucały z siebie grad pocisków.

Kolejna rakietka wystrzeliła w powietrze; dymiącym ogonem zakreśliła w powietrzu wysoki łuk.

— Uwaga! — wrzasnął Adams. Siedzący za sterem marynarz zakreślił łodzią w prawo i lewo, próbując uciec rakiemie z drogi. Wielki, śmiercionośny pocisk z głośnym wybuchem wpadł do morza. Biały słup wody wzbił się w powietrze.

— Niedobrze — powiedział Adams. — Są szybsi. Złapią nas. — Zdecydowanym głosem wydał swoim ludziom rozkaz: — Otworzyć ogień!

Cała łódź zadrżała od ogłuszającego huku karabinowych wystrzałów. Pociski cięły powietrze niczym rój wściekłych os. W sobie tylko znany sposób Dave znalazł

90

czy\się do obrony.

Kolejna rakietka wybuchła zaledwie parę metrów od nich.

Dwie łodzie gnały po falach błękitnego oceanu, krążąc w szaleńczym pędzie wokół wyspy. Woda cięta cielskimi kadłubów, gradem kul i wybuchami raket rozbryzgiwała się na wszystkie strony tysiącami słonych kropelek.

Nagle nie wiadomo skąd wyrosła przed nimi wielka rafa koralowa. Gdy ją zauważyli, było już za późno. Z niesamowitą siłą wojskowa łódź wpadła na ukrytą przeszkodę i wyskoczyła wysoko w powietrze. W górze łódź przewróciła się do góry dnem i trzynastu ludzi wpadło do oceanu. Sekundę później łódź uderzając o powierzchnię wody z trzaskiem przełamała się na pół.

Doktor wynurzył głowę na powierzchnię. Łapczywie chwycił powietrze, rozglądając się za synem.

— Tato! — rozległo się wołanie.

— Jay! — odpowiedział doktor.

Zaczęli płynąć ku sobie. Inni także próbowali się odnaleźć wśród fal oceanu.

— Doktorze! — rozległ się głos Dave'a. — Nic panu nie jest?

— Tutaj, tutaj! — krzyknął doktor.

Łódź rebeliantów zwolniła, by ostrożnie opłynąć rafę, po czym wpłynęła pomiędzy szamoczącymi się w wodzie rozbitków. Jej kadłub został mocno pokancerowany przez pociski komandosów, lecz mimo to nadal unosiła się na wodzie. Doktor Cooper rozpoznał część ludzi stojących na pokładzie — widział ich już raz na Kurnoe. Z niektórymi nawet zdarzyło mu się walczyć podczas bójki w sklepie.

Tym jednak razem to oni byli zwycięzcami. Ze złowieszczymi uśmiechami patrzyli na bezradnie pływających Amerykanów. Jednego po drugim, wyciągano jeńców z wody. Pościg był skończony.

91

W potrzasku

Stawianie oporu nie miało najmniejszego sensu. Rebelianci mieli ich w rękę i nawet wypalili parę salw w powietrze dla podkreślenia tego faktu. Komandosi zostali natychmiast rozbrojeni. Z rękami na karku stali teraz pod lufami karabinów, przemoczeni do suchej nitki. Potężny mężczyzna z obnażonym torsem wyciągnął Jaya z wody niczym rybę i bez najmniejszej delikatności rzucił na pokład. Pani Flaherty nie potraktowano wcale lepiej, mimo że była kobietą. Co gorsza, kilku rebeliantów rozpoznało w niej starą handlarkę, która tak dotkliwie z nich zadrwiła. W ich oczach ujrzano wyraźnie chęć wyrównania porachunków. Gdy na pokład wciągnięto doktora Coopera, pani Flaherty schroniła się u jego boku, co zdawało się skutkować. Rebelianci zostawili ją w spokoju, przynajmniej na jakiś czas.

Komunistom pozostało jeszcze schwytać Złego Da-ve'a, który natychmiast po wypadnięciu z łodzi zaczął płynąć w stronę wyspy. Nim rebelianci zdążyli wyciągnąć wszystkich rozbitków na pokład, on znajdował się już w połowie drogi do brzegu.

92

Na niewiele się to jednak zdało. Wypełniona po brzegi łódź powoli podpłynęła do brzegu.

Kilku rebeliantów wskoczyło do płytkiej wody, by tam uformować komitet powitalny, który zaopiekował się Dave'em.

Mając na pokładzie komplet jeńców, dowódca rebeliantów włączył krótkofalówkę i przekazał jakiś meldunek.

Zły Dave wyjaśnił doktorowi znaczenie słów dowódcy.

— Połączył się właśnie ze swoim szefem i powiedział mu o nas. Zdaje się, że szef ma zamiar się tu zjawić, żeby ujrzeć nas na własne oczy.

Tylko tyle zdążył powiedzieć, w tym bowiem momencie strażnik chwycił go za włosy i krzyknął coś z wściekłością. Doktor Cooper nie zrozumiał ani słowa, rozkaz był jednak jasny: należało trzymać język za zębami.

Czekali więc w milczeniu, ściśnięci w rebelianckiej łodzi zakotwiczonej u wybrzeży wyspy.

Słońce prażyło niemiłosiernie. Minęła godzina, potem druga. Ubrania mieli lepkie od soli, włosy mokre i pozlepiane. Starali się zachowywać spokojnie. Natomiast ich nadzorcy z każdą minutą stawali się coraz bardziej nerwowi.

Wtem któryś z rebeliantów dostrzegł coś w oddali i krzyknął do innych. Po chwili wszyscy zaczęli się śmiać i rozmawiać z ożywieniem.

Jeńcy powoli odwrócili głowy, by zobaczyć, co sprawiło rebeliantom taką radość. Oto ku wyspie zbliżał się lśniący, śnieżnobiały jacht imponującej wprost wielkości.

Pani Flaherty zorientowała się, że rebelianci są zbyt zajęci sobą, by usłyszeć jej szept, więc odezwała się do przyjaciół:

— Nadchodzi sowiecki lalkarz, człowiek, który pociąga za sznurki.

— I napełnia kieszenie — dodał Dave.

Z dudnieniem wielkich silników i dwiema bliźniaczo podobnymi smugami dymu wydostającymi się z dwóch kominów jacht podpłynął do wyspy. Z tej odległości zda-

93

wał się jeszcze większy. Łódź rebeliantów wypłynęła mu na spotkanie. Wyglądała przy nim jak zabawka. Załoga jachtu składała się w większości z Polinezyjczyków i Filipińczyków, nie było jednak najmniejszej wątpliwości co do narodowości kapitana — postawnego mężczyzny o wyprostowanej sylwetce, który pojawił się na mostku.

— Rosjanin — odezwał się Dave.

— Wielki Brat we własnej osobie — dodał doktor Cooper. Rosjanin z lekceważeniem popatrzył na zamoczonych pasażerów łodzi i uśmiechnął się złowieszczo. Potem zadał przywódcy rebeliantów jakieś pytanie po filipińsku.

— Chce wiedzieć, którzy z nas są przywódcami — powiedział Dave.

Dowódca rebeliantów wskazał na porucznika Adamsa i doktora Coopera.

Rosjanin rzucił jakiś rozkaz, po którym rebelianci natychmiast chwycili za ramiona pięciu jeńców: doktora Coopera, Adamsa, panią Flaherty, Dave'a oraz Jaya. Jeden z marynarzy spuścił z jachtu drabinkę, po której wepchnięto wskazaną piątkę. Na pokładzie czekało już na nich paru innych uzbrojonych strażników. Zaprowadzili ich na rufę, gdzie mogli usiąść na wygodnych krzesłach pod chroniącą od słońca wielką markizą.

Rosyjski dowódca przyglądał im się zimnymi, błękitnymi oczami.

— Nazywam się Michaił Iwanowicz — odezwał się po chwili — Jestem oficerem KGB. Z kim mam przyjemność?

— Porucznik Joe Adams, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, numer służbowy...

— Starczy, poruczniku, starczy — przerwał mu Iwanowicz. — Resztę wiem. — Spojrzał na doktora Coopera. — A pan?

Doktor Cooper przedstawił siebie oraz pozostałą trójkę.

— Co więc robicie w towarzystwie oficera wojska amerykańskiego?

94

Doktor Cooper odpowiedział prosto:

— Aresztował nas.

— Aha, ale to wy jesteście tymi Amerykanami, którzy odwiedzili ostatnio wyspę Kurnoe, zgadza się?

Doktor Cooper zachował milczenie. Iwanowicz nie przejął się tym zbyt. —

— Zdaje się, że w sklepie była niezła bójka... po zawodach w zjadaniu ślimaków, co? —

Zaśmiał się i przeniósł wzrok na panią Flaherty. — A to jest zapewne stara handlarka, hmm?

— Uśmiechnął się do Jaya. — A to ów młody śmiałek, o którym tak wiele mi opowiadano. — Spojrzał na nich wszystkich z góry i oświadczył:

— Niezły połów. Całkiem udany dzień, całkiem udany dzień...

Zadowolony, rozparł się wygodnie w fotelu naprzeciwko piątki jeńców.

— Poruczniku Adams — odezwał się po chwili — chyba zdążył już pan powiedzieć swoim przyjaciołom, o co w tej całej ekscytującej grze chodzi?

— Jestem porucznik Joe Adams, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, numer służbowy...

— W porządku, sam im to powiem. Doktorze Cooper, o ile mi wiadomo, poszukuje pan pewnego amerykańskiego samolotu, prawda? C-141, Amerykańskich Sił Powietrznych? Doktor nie odpowiedział. Iwanowicz ciągnął dalej.

— My również, co nie powinno zresztą dziwić. Pozwoli pan jednak, że wytłumaczę dlaczego, a potem porucznik Adams będzie mógł potwierdzić lub zakwestionować prawdziwość moich słów. Być może pamięta pan, panie doktorze, potężną eksplozję, wielką, ognistą kulę, która jakiś czas temu zabłysła nad Japonią, Chinami i w ogóle całym Dalekim Wschodem. Pisali o tym w gazetach. Pamięta pan?

— Tak, czytałem — przyznał doktor.

o.

— To bardzo dobrze. Wytłumaczę teraz panu, co tak naprawdę się wtedy stało. Widzi pan, to wcale nie był meteor, który spalił się w atmosferze, jak chciała tego prasa. Nie, eksplozja ta została wywołana przez ludzi. Była to próba naziemnego lasera antysatelitarnego o niewyobrażalnej wprost sile rażenia, broni przeznaczonej do niszczenia wrogich satelitów i pocisków balistycznych. Próba, jak może się pan domyślić, zakończyła się pełnym sukcesem. Laser potrafił całkowicie zniszczyć duży obiekt poruszający się po orbicie jakieś siedemset kilometrów od ziemi. Broń o takiej precyzji i sile dałaby Stanom Zjednoczonym ogromną przewagę nad rosyjskimi systemami obrony strategicznej.

— W każdym razie żadna przeprowadzona w kosmosie próba, która kończy się tak wspaniałym wybuchem, choćby nie wiem jak tajna, nie może zbyt długo pozostać w całkowitej tajemnicy. Tak też było i tym razem. Mój rząd dowiedział się o tajnej broni, postanowił ją mieć, więc wysłał mnie w celu pozyskania lasera, oczywiście w sposób możliwie dyskretny, bez mieszania w to bezpośrednio sił radzieckich. Nie spodobałoby się to światu, sam pan wie.

— Mój plan polegał więc na wynajęciu kogoś, kto wykonałby całą robotę za nas. Ci oto szlachetni obrońcy uciśnionych, ci bojownicy o wolność Filipin, aż palili się do tego zadania. Oczywiście nie za darmo. Płacimy im za ich usługi sowiecie, zarówno w gotówce, jak i w broni, której używają w walce o swe własne cele. Tym sposobem obie strony dostają to, czego chcą.

Iwanowicz zwrócił się do Adamsa i spytał:

— Czy jak dotąd zgadza się pan ze mną? Adams nie odpowiedział ani słowem. Iwanowicz był pod wrażeniem.

— Jest pan niezwykle lojalnym obywatelem swojego kraju, poruczniku Adams. Na szczęście dla nas, dwaj ludzie z załogi tego samolotu, Max Baker i Al Reed, nie byli tak lojalni, czy raczej zdołaliśmy kupić ich lojalność. Jak

96

łatwo zgadnąć, na pokładzie samolotu znajdował się wspomniany wcześniej laser, w drodze do Stanów Zjednoczonych w celu dokonania dalszych prób i ulepszeń. Pojście samolotu było planem prostym i logicznym. Wszystko szło jak z płatka... do czasu.

Iwanowicz oparł się na krzesło i westchnął.

— I dlatego wszyscy się tu teraz spotykamy, prawda? Samolot wraz ze swym cennym ładunkiem, miał wylądować na przebudowanym pasie na wyspie Kurnoe, laser miał być przeładowany do samolotu rosyjskiego i wywieziony, C-141 miał zostać zatopiony w morzu... Ach, cóż to był za plan. Wszystko szło tak łatwo, tak gładko.

Iwanowicz zamyślił się przez chwilę nad planem, który się nie powiódł, po czym podsumował swój długi wywód.

— Zamiast tego samolot zniknął, a my wszyscy spotykamy się w wyścigu po zaginiony laser, którego zwycięzca zabiera całość.

Rosjanin nachylił się do doktora Coopera i świdrującym wzrokiem spojrzał mu prosto w oczy.

— Wracając jednak do pana, panie doktorze, oraz pańskich towarzyszy, chłopaka i handlarki. Macie jakieś informacje, prawda?

Doktor Cooper uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Panie Iwanowicz, sam pan nie wie, jak bardzo chciałbym je mieć.

Iwanowicz nie ustępował.

— Ależ pan je ma, doktorze Cooper. Jestem tego pewien. Ten tubylec w sklepie na Kurnoe, ten biedak, który nie potrafił wepchnąć w siebie tych wszystkich ślimaków... Dał panu medalion, prawda?

— Coś pan chyba pokręcił.

— I jeszcze powiedział panu, gdzie go znalazł, prawda? Powiedział panu, gdzie szukać zaginionego samolotu.

— Piękne, ale niestety nieprawdziwe.

— To dlatego w takim pośpiechu opuścił pan wyspę

jeszcze tej samej nocy. Postanowił pan natychmiast przy-płynąć tutaj, by odnaleźć zgubą. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest samolot? Gdzie miał pan zamiar szukać'?

— Dlaczego nie spytał pan o to tego tubylca? Iwanowicz wyprostował się.

— Pytaliśmy. Niestety, umarł okrutną śmiercią z rąk przesłuchujących, zanim zdecydował się cokolwiek nam powiedzieć. — Gwałtownie nachylił nad doktorem i wykrzyczał następane zdanie prosto w jego twarz.

— I pana także to czeka, doktorze, jeśli nie powie nam pan wszystkiego, co pan wie!

'mc

Wyczeipana Lila siedziała po szyję w mętnej, mulistej wodzie morskiej. Powoli zaczynała godzić się z faktem, że nigdy już nie będzie jej dane wydostać się z uwięzionego w oceanie kontenera. Przez długie godziny kopała w morskim dnie, które tarasowało jej drogę na zewnątrz, lecz w gruncie rzeczy zużyła tylko sporo cennego tlenu z butli oraz zmąciła wodę wypełniającą dno kontenera.

Powoli, z wielkim trudem wdrapała się na wieko wielkiej drewnianej skrzyni. Położyła się tam bez ruchu, pogodzona z myślą, że kolejna próba skończyła się fiaskiem.

— Boże — powiedziała głośno — ciekawe, czy w ogóle ktoś wie, że tu jestem. Oczywiście, Ty wiesz, ale... kto jeszcze? No bo siedzę tu zupełnie sama ze swoim problemem i nie wiem nawet, czy ktoś na zewnątrz wie, co się stało, czy kogoś w ogóle to obchodzi. Właściwie nie mam nawet pewności, czy Ciebie to obchodzi!

Bóg zdawał się jej nie słyszeć. „A może ma już dość mojego ciągłego płaczu?” pomyślała smutno.

— Panie... jedyne czego chcę, to wydostać się z tego więzienia. Czy tego nie widzisz?

98

To ostatnie pytanie przeniosło ją w świat wspomnień. Lila zamilkła, pozwalając pamięci po raz kolejny odegrać sceny z przeszłości.

„On jest więźniem, Lila, więźniem swoich własnych uczuć” — powiedziała kiedyś matka.

Pamiętała to miejsce, ten dzień: cichy park w Anglii, zielone trawniki, wielki staw z łabędziami, płaczące wierzby drżące na lekkim wietrze. Lila miała wtedy dziewięć, może dziesięć lat. Płakała. Siedziały obie na ławce, a matka otaczała ją ramieniem, pocieszała.

Matka była piękna; słońce połyskiwało w jej długich, złotych włosach.

— Czasem — tłumaczyła matka — ludzie stają się twardzi na zewnątrz, bo gdzieś głęboko w środku czują się zranieni. Nie chcą więcej ran, więc zamykają się jak w muszli.

Lila pamiętała to bardzo dokładnie. Leżała teraz w przyćmionym, czerwonym świetle lampek sygnalizacyjnych i nieobecny oczyma oglądała wspomnienie z dzieciństwa jak wyświetlany w kinie film.

Potem matka powiedziała coś takiego: „On nie chciał być na ciebie zły, naprawdę nie chciał. Musisz zrozumieć ojca. Zawsze, kiedy coś go zaboli, zetraca się w tym, co akurat robi, i musi minąć jakiś czas, zanim się odnajdzie. Rozumiesz?”

Lila próbowała sobie przypomnieć, czy wtedy rozumiała. Zdaje się, że nie. O ile dobrze pamiętała, tamtego dnia była zła na ojca, miała do niego o coś żal. Tylko o co?

Och, jasne. Przypomniała sobie. Chciała, żeby zabrał ją do parku, ale on powiedział, że nie może. Zdawał się czymś rozdrażniony, więc Lila pomyślała, że to z jej powodu, i...

Lila skrzywiła się. Och, oczywiście. To było wtedy, gdy uniwersytet obniżył mu fundusze, bo w swych pracach zbyt poważnie traktował Biblię. Nic dziwnego, że był rozeźlony.

Lila wsłuchiwała się w swoje myśli: Poczul się dotknięty, lecz ja tego nie widziałam.

Myślałam tylko o tym,

99

że zachował się w stosunku do mnie nieuprzejmie. Myślałam, że jestem mu obojętna.

Zrozumiała.

— Boże, to Ty, prawda? To ty przypominasz mi to wszystko! Pomóż mi, Boże. Pomóż mi usłyszeć to, co do mnie mówisz.

Jej własne słowa wróciły do niej niczym echo odbite od ściany: Boże, jedyne czego chcę, to wydostać się z tego więzienia... Siedzę tu zupełnie sama ze swoim problemem i nie wiem nawet, czy ktoś na zewnątrz wie, co się stało, czy kogoś w ogóle to obchodzi...

Zastanowiła się nad tymi słowami i przyszło jej do głowy, że odnoszą się nie tylko do niej...

Równie dobrze mogły się odnosić do ojca. Czy on też cierpiał? Czy ktoś o tym wiedział i czy kogoś to obchodziło? Czy ją to obchodziło?

— Panie — odezwała się — czy dlatego on nie chce o niej mówić?

Doktor Cooper nie ugiął się pod twardym spojrzeniem sowieckiego agenta. — Panie Iwanowicz — powiedział — jest pan wysokim oficerem sowieckiego wywiadu, dysponuje pan ludźmi, sprzętem, nowoczesną techniką, bronią, wszystkim, czego tylko pan zapagnie. Czegóż więc jeszcze może pan chcieć od nas?

Porucznik Adams nie wytrzymał.

— Cooper, niech pan nie rozmawia z tym człowiekiem! To wróg!

— Cisza! — wrzasnął Iwanowicz. — Doktor Cooper mądrze robi, rozmawiając ze mną. W ten sposób może ocalić nie tylko swoje, lecz również pańskie życie.

100

Adams nie ustępował.

— Laser jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Nie możemy pozwolić, by Sowieci go nam ukradli!

— Nie przybyłem tu z powodu lasera — odparł doktor. — Szukam córki.

Iwanowicz uniósł brwi.

— Córki?

— Była na pokładzie tego samolotu. Ja i moi przyjaciele przybyliśmy tu tylko po to, żeby ją odnaleźć. Nie wiemy nic o żadnym laserze.

Iwanowicz uśmiechnął się z przekąsem.

— Doktorze Cooper, dobrze wiemy, że żadnego cywilnego pasażera w tym samolocie nie było.

— Owszem, był. Lila znalazła się tam w ostatniej chwili. Nie zdążyliście się już o tym dowiedzieć.

Iwanowicz parsknął śmiechem.

— Tak, tak, doktorze, oczywiście! Oto dwie największe potęgi świata rywalizują ze sobą w poszukiwaniach najnowocześniejszej broni, jaka powstała w erze atomowej, broni, która na dziesiątki lat dałaby jednemu narodowi przewagę nad wszystkimi innymi, a pan mi mówi, że szuka pan dziecka? Naprawdę pan chce, żebym w to uwierzył?



— Ale to prawda! — wyrwał się Jay. Iwanowicz roześmiał się.

— To dopiero! Mówimy o władzy, o czystej, brutalnej sile, najnowocześniejszej broni taktycznej w historii! Życie jednostki znaczy przy tym tyle co nic!

Jay zerwał się na równe nogi.

— Życie mojej siostry znaczy bardzo wiele! Bóg ją kocha i my ją kochamy. Jest w niebezpieczeństwie, a to znaczy, że musimy ją odnaleźć, uratować. Ale wy dwaj nie potraficie myśleć o niczym innym, tylko o tym głupim laserze, jeszcze jednej maszynie do zabijania ludzi!

Iwanowicz uśmiechnął się i odpowiedział:

101

że zachował się w stosunku do mnie nieuprzejmie. Myślałam, że jestem mu obojętna.

Zrozumiała.

— Boże, to Ty, prawda? To ty przypominasz mi to wszystko! Pomóż mi, Boże. Pomóż mi usłyszeć to, co do mnie mówisz.

Jej własne słowa wróciły do niej niczym echo odbite od ściany: Boże, jedyne czego chcę, to wydostać się z tego więzienia... Siedzę tu zupełnie sama ze swoim problemem i nie wiem nawet, czy ktoś na zewnątrz wie, co się stało, czy kogoś w ogóle to obchodzi...

Zastanowiła się nad tymi słowami i przyszło jej do głowy, że odnoszą się nie tylko do niej...

Równie dobrze mogły się odnosić do ojca. Czy on też cierpiał? Czy ktoś o tym wiedział i czy kogoś to obchodziło? Czy ją to obchodziło?

— Panie — odezwała się — czy dlatego on nie chce o niej mówić?

Doktor Cooper nie ugiął się pod twardym spojrzeniem sowieckiego agenta. — Panie

Iwanowicz — powiedział — jest pan wysokim oficerem sowieckiego wywiadu, dysponuje pan ludźmi, sprzętem, nowoczesną techniką, bronią, wszystkim, czego tylko pan zapagnie. Czegóż więc jeszcze może pan chcieć od nas?

Porucznik Adams nie wytrzymał.

— Cooper, niech pan nie rozmawia z tym człowiekiem! To wróg!

— Cisza! — wrzasnął Iwanowicz. — Doktor Cooper mądrze robi, rozmawiając ze mną. W ten sposób może ocalić nie tylko swoje, lecz również pańskie życie.

100

Adams nie ustępował.

— Laser jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Nie możemy pozwolić, by Sowieci go nam ukradli!

— Nie przybyłem tu z powodu lasera — odparł doktor. — Szukam córki.

Iwanowicz uniósł brwi.

— Córki?

— Była na pokładzie tego samolotu. Ja i moi przyjaciele przybyliśmy tu tylko po to, żeby ją odnaleźć. Nie wiemy nic o żadnym laserze.

Iwanowicz uśmiechnął się z przekąsem.

— Doktorze Cooper, dobrze wiemy, że żadnego cywilnego pasażera w tym samolocie nie było.

— Owszem, był. Lila znalazła się tam w ostatniej chwili. Nie zdążyliście się już o tym dowiedzieć.

Iwanowicz parsknął śmiechem.

— Tak, tak, doktorze, oczywiście! Oto dwie największe potęgi świata rywalizują ze sobą w poszukiwaniach najnowocześniejszej broni, jaka powstała w erze atomowej, broni, która na dziesiątki lat dałaby jednemu narodowi przewagę nad wszystkimi innymi, a pan mi mówi, że szuka pan dziecka? Naprawdę pan chce, żebym w to uwierzył?

— Ale to prawda! — wyrwał się Jay. Iwanowicz roześmiał się.

— To dopiero! Mówimy o władzy, o czystej, brutalnej sile, najnowocześniejszej broni taktycznej w historii! Życie jednostki znaczy przy tym tyle co nic!

Jay zerwał się na równe nogi.

— Życie mójCj s'roscry znaczy 'uuuiscu ir'K.W.^fó/5 jh kocha i my ją kochamy. Jest w niebezpieczeństwie, a to znaczy, że musimy ją odnaleźć, uratować. Ale wy dwaj nie potraficie myśleć o niczym innym, tylko o tym głupim laserze, jeszcze jednej maszynie do zabijania ludzi!

Iwanowicz uśmiechnął się i odpowiedział:

— Młody człowieku, to wszystko dlatego, że interes państwa wielu ludzi, a więc Rosji, to coś o wiele ważniejszego od życia jednostki, czyli twojej siostry.

— Myli się pan!

Iwanowicz spojrział na doktora z ogniem w oczach.

— Pozwala pan swemu synowi na taki brak szacunku? Odpowiedź doktora zabrzmiała stanowczo.

— Zawsze uczyłem mego syna, by szanował starszych... ale także, by mówił prawdę.

Iwanowicz pokiwał głową. W jego oczach pojawiła się diabelska przebiegłość. Przez chwilę uważnie przyglądał się chłopcu.

— Lubi mówić prawdę, tak? A pan uważa, że ludzkie życie nie ma ceny? Bardzo dobrze.

Zaraz się przekonamy, jak mocno wierzy pan w swoje słowa.

Jay nie próbował nawet stawiać oporu dwóm osiłkom, którzy grubymi linami przywiązywali go do skał. Fale przypiływu rozbijały się na skałach na wysokości pasa chłopca. Mężczyźni zacisnęli liny na ciele Jaya i ruszyli w stronę brzegu.

Pięciu rebeliantów pod dowództwem Iwanowicza dopilnowało, by doktor Cooper, pani Flaherty, Dave oraz porucznik Adams mogli z pobliskiej plaży przyglądać się wszystkiemu dokładnie.

— To kwestia paru godzin — powiedział Iwanowicz. — Fale zmuszą go do rozmyślań nad wartością jego własnego życia. Ocean będzie się podnosił, aż wreszcie zakryje go całkowicie, a wtedy... no cóż, wtedy chłopak utonie. Być może jednak do tego nie dojdzie, oczywiście pod warunkiem, że któreś z was zmieni zdanie i postanowi powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć.

— Nie mówcie mu nic — odezwał się Adams. Doktor Cooper z rozdartym sercem patrzył jak

coraz

wyższe fale obmywają ciało jego syna.

102

r Wybawienie

Bang! Kamień odbił się od głowy rebelianta. Mężczyzna osunął się na ziemię.

Dwaj inni strażnicy krzyknęli z bólu trafieni w szyję małymi, pierzastymi lotkami.

Uderzony kamieniem porucznik Adams upadł nieprzytomny twarzą w piasek.

Doktor Cooper, pani Flaherty, Dave oraz Iwanowicz odruchowo rzucili się na ziemię. Czterej pozostali na placu boju strażnicy nie poszli za ich przykładem, lecz skierowali karabiny w stronę dżungli.

Znowu mignęły dwie następne lotki. W chwilę potem w powietrzu przeleciał kolejny kamień. Trzech strażników osunęło się na ziemię. Ostatni, siódmy, zdążył jeszcze wystrzelić parę pocisków, zanim upadł trafiony i lotką i kamieniem.

Wszystko odbyło się tak szybko i cicho, że nim ktokolwiek zdążył się zorientować, było już po wszystkim. Z pobliskich traw i krzaków wyległa na plażę zgraja półnagich dzikusów.

Odziani jedynie w spodniczki z trawy

103

oraz naszyjniki z muszli, uzbrojeni w rury do wydmuchiwania lotek, wielkie proce i długie włócznie wyglądali naprawdę groźnie. Było ich przynajmniej trzydziestu, więc pojmanie grupki obcych nie nastęrczało im wielkich trudności.

Pozbawiony obstawy Iwanowicz sprawiał wrażenie całkiem bezradnego. Dave natychmiast zauważył jego zaniepokojenie.

— Hej, Iwanowicz, a ile warte jest twoje życie? To są Sutolo. Oni zjadają Rosjan!

Iwanowiczowi nie było do śmiechu. Próbował dobiec do szalupy, którą wcześniej przybyli, lecz dwaj rośli wojownicy okazali się szybsi. Rosjanin został przyniesiony z powrotem na miejsce. Szaipał się, lecz niewiele mógł zdziałać wobec stanowczości tubylców.

Inni wojownicy siłą zmusili doktora, panią Flaherty oraz Dave'a do powstania.

— Dave — odezwał się doktor — mówisz ich językiem?

— Mhm... „Mem bay goonai techam.” No i co, nieźle?

— Co to znaczy?

— „Poproszę o sól”, jeśli się nie mylę. Lingwistyczne popisy Dave'a nie wywarły na dzikich żadnego wrażenia. Dwaj wojownicy, prawdopodobnie wodzowie, przewrócili bezwładne ciała rebeliantów na plecy, dokładnie obejrzelili każde z nich, a potem zaczęli coś do siebie mruzczyć, kiwając przy tym głowami.

— Co oni robią? — spytał Iwanowicz drżącym głosem.

— Decydują, kogo zjeść na obiad — odparł Dave. — Mam nadzieję, że wybiorą ciebie!

— Żartujesz chyba!

— To się jeszcze okaże, to się jeszcze okaże! Porucznik Adams nie spodobał się dwóm Sutolo. Minęli go obojętnie.

104

Następna w kolejce była pani Flaherty. Twarze dzikich rozjaśniły się promiennym uśmiechem, gdy ze znanstwem szczykali ją w ramiona i omawiali jej zalety smakowe. Z zadowoleniem kiwali do siebie głowami.

— Tego właśnie się bałem — powiedział Dave.

— Czy to komplement? — odparła pani Flaherty. Na dany przez wodzów znak została odsunięta na bok.

Następny był Dave. Mimo początkowych wątpliwości, wodzowie postanowili postawić Dave'a obok pani Flaherty.

Doktor Cooper spojrział na Iwanowicza i powiedział:

— Kolej na mnie albo na pana, albo na nas obu. Dwaj „inspektorzy” stanęli przed Iwanowiczem. Jeden

z nich uszczypnął go w policzek. Iwanowicz czuł się wyraźnie upokorzony. Wojownicy mruzcili coś do siebie tonem wyraźniej zachęty.

— Poczekajcie! — krzyknął Iwanowicz. — Poczekajcie, możemy ubić interes!

Dwaj tubylcy popatrzyli najpierw na siebie, a potem na Iwanowicza. Nie rozumieli.

Iwanowicz zmagął się przez chwilę z trzymającymi go za ręce strażnikami. W końcu udało mu się podwinąć rękaw koszuli.

— Patrzcie! Patrzcie na to! — Wyprostował rękę i pokazał im złoty zegarek. — Weźcie to! Weźcie zegarek zamiast mnie!

Wojownicy popatrzyli na zegarek, lecz nie sprawiali wrażenia zainteresowanych.

Wtedy Iwanowicz wpadł na inny pomysł.

— Tam! — Wskazał palcem w stronę morza. — Mam dla was chłopaka! Młodego, smacznego chłopaka! Widzicie tam?

Wodzowie spojrzeli we wskazanym kierunku, gdzie wśród fal rozpaczliwie walczył o życie Jay.

— Weźcie zegarek i jego! Umowa stoi?

Wojownicy wybełkotali coś do siebie, spojrzeli na Iwanowicza, a potem na Jaya. Zastanawiali się.

W końcu kiwnęli głowami. Iwanowicz został uwolniony. Wojownicy wzięli zegarek, odsuwając jego właściciela na bok jako rzecz nie nadającą się do spożycia. Był wyraźnie zadowolony z ich decyzji.

Bez dłuższego zastanowienia wojownicy włączyli doktora Coopera do grupy potraw. To także ucieszyło Rosjanina, który czym prędzej udał się do łodzi.

— Musimy się rozstać, moi przyjaciele z Ameryki — rzucił na pożegnanie. — Udało wam się ukryć przede mną wasze tajemnice, lecz, jak sądzę, wypadliście z wyścigu po laser. Cieszy mnie to niezmiernie. Wybaczcie, że opuszczam was tak pospiesznie. Obawiam się jednak, że gospodarze szykują się do obiadu, a nie chciałbym im przeszkadzać. Żegnajcie.

Iwanowicz wdrapał się do szalupy, odbił od brzegu i włączył silnik. Odpłynął, nie troszcząc się o ciała swych ludzi.

Zadowoleni ze zdobyczy tubylcy poprowadzili doktora, Jaya, panią Flaherty oraz Dave'a w stronę dżungli. Kiedy weszli na leśną ścieżkę, wojownicy pozwolili czwórce jeńców iść swobodnie pomiędzy nimi. Szli więc razem poprzez gęstą dżunglę na drugi koniec wyspy. Bębny plemienia Sutolo rozbrzmiewały w oddali jednostajnym, miarowym dudnieniem. Jay był przemoknięty i zziębnięty, miał nadzieję, że marsz nieco go rozgrzeje. Doktor Cooper szedł tuż przed nim pomiędzy dwoma wodzami. Chłopiec uważnie obserwował ruchy ojca w oczekiwaniu jakiegoś znaku, jakiejś wskazówki co do możliwych sposobów oswobodzenia. Jak dotąd jednak ucieczka wydawała się niemożliwa.

Nagle zaskoczony Jay poczuł, że ktoś zarzucił mu na ramiona coś miękkiego. To groźnie wyglądający wojow-

nik, potężny mężczyzna z kością w nosie, pomógł mu owinąć się kocem.

Dwaj wysocy mężczyźni eskortujący doktora rozmawiali o czymś z przejęciem. W pewnej chwili jeden z nich, barczysty łysielec, wyciągnął rękę, by przyjrzeć się złotemu zegarkowi Iwanowicza. Drugi, włochaty młodzieniec o niekompletnym uzębieniu, zaśmiał się z zadowoleniem. Łysy był jednak czymś zmaitwiony. Zdjął zegarek z ręki i zaczął przy nim majstrować. Potem obaj mężczyźni zaczęli przekazywać sobie zegarek z rąk do rąk, mamrocząc i mrużąc przy tym w niezrozumiałym języku. Pewnie nie mogli dojść do zgody co do przeznaczenia tajemniczego przedmiotu. Obracali nim na wszystkie strony, potrząsali, przystawiali sobie do uszu, lecz nie mogli dojść do porozumienia.

Wreszcie włochaty wskazał na doktora palcem i spytał:

— Wiesz, jak to nastawić?

Doktor nie wierzył własnym uszom. W milczeniu patrzył na wojownika wielkimi ze zdziwienia oczami.

— Mówisz chyba po angielsku? — spytał tamten.

— No... tak — wykrztusił w końcu doktor. Wojownik podał mu zegarek.

— Jesteśmy w innej strefie czasowej, godzinę do przodu.

— O! — Doktor tylko tyle potrafił powiedzieć. Potem obejrzał zegarek i postanowił wytłumaczyć im jego działanie. — To zegarek elektroniczny, na baterie. Żeby go ustawić, należy nacisnąć te małe guziki tutaj...

Opowiedział im wszystko po kolei, zadowolony, że może im pomóc. Najważniejsze jednak było to, że się ze sobą porozumiewali.

Jay, który podsłuchiwał całą tę rozmowę, rzucił ukradkowe spojrzenie na wojownika, który okrył go kocem.

— Ciepło ci? — spytał tubylec.

— Tak. Dziękuję bardzo.

Ścieżka powoli opadała ku drugiemu końcowi wyspy. W pewnej chwili wyszli z dżungli wprost na rozległą wieś

707

złożoną z wielu słomianych chat. Dźwięk bębnów stał się głośny i wyraźny. Jeńcy ujrzeli grupę mężczyzn, którzy siedzieli wokół wielkiego ogniska pośrodku wsi i z radosnym śpiewem na ustach walili w bębny. Całe plemię, od wojowników po matki z dziećmi, zebrało się wokół ogniska. Oni także śpiewali, śmiali się i cieszyli. Młody chłopak na brzegu grupy dostrzegł powracających z wyprawy wojowników. Głośnym krzykiem obwieścił to swoim współ-plemieńcom. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w stronę przybyszów. Bicie bębnów zamilkło. Rozległy się pełne podniecenia okrzyki i śmiechy.

Doktor Cooper i jego przyjaciele wstrzymali oddech, niepewni, czego się spodziewać, czy radość tych ludzi płynęła z ich gościnności... czy też z głodu?

Tłum otoczył ich zwartym kręgiem. Wojownicy wymachiwali długimi włóczniami w geście zwycięstwa.

Ci najbliżej stojący wyciągali duże, brązowe ręce w stronę pani Flaherty. W pierwszej chwili odsunęła się z przestrachem. Potem jednak spostrzegła, że nie mają wobec niej złych zamiarów. Ostrożnie wyciągnęła do nich dłonie. Ucisnęła japo kolei w geście powitania. Właśnie wtedy zza pleców tłumu dobiegł znany jeńcom głos:

— W porządku, w porządku, pozwólcie mi przejść! Tłum rozstał się, ustępując drogi rubasznemu, pucu-

łowatemu mężczyźnie w spodniczce ze słomy i szerokim słomianym kapeluszu.

Zły Dave wykrzyknął pierwszy jego imię.

— Jeny! Ojciec Jeny Garrison! Co ty tu robisz? Jeny Garrison, misjonarz z wyspy Kurnoe, z szerokim

uśmiechem na twarzy podszedł do pojmanych.

— Och, przypląnąłem tu własną łodzią. Opuściłem Kurnoe godzinę po was. Przedtem jednak położyłem kukły w naszych łóżkach, żeby zająć czymś rebeliantów na pewien czas.

108

Doktor Cooper ucisnął mu dłoń.

— Rozumiem, że nie zostaniemy zjedzeni? Jerry zaśmiał się głośno.

— Och, nie oczywiście, że nie, żadne... żadne z was czworga. — Przyjrzał im się po kolei, po czym zwrócił się do wodzów.

— Suktay, Zebu! Przecież powiedziałem, żebyście przyprowadzili pięcioro ludzi. Gdzie jest ten facet?

Suktay i Zebu popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.

— To jedyni dobrzy ludzie, jakich tam widzieliśmy. Reszta to bandyci, którzy zabijają.

— Nie — odparł Jerry. — Ten facet nie był zły. Tylko tak wyglądał. Miał na sobie mundur, tak? W kolorze liści?

Obaj pokiwali głowami.

— Myśleliśmy, że jest zły. Walnęliśmy go w głowę.

— Co? — krzyknął Jerry. — Nie to mieliście zrobić! To był przyjaciel, facet z marynarki wojennej. Wracajcie po niego natychmiast. Tylko szybko, zanim komuniści się ockną.

Suktay i Zebu zebrali niewielką grupę ludzi i ruszyli z powrotem w stronę dżungli.

— Aha, Zebu! — krzyknął Jeny. Wojownik odwrócił się z pytającym spojrzeniem. — Ładny masz zegarek!

— Rosyjski! — zawołał Zebu. — Na baterie! Wojownicy zniknęli w gąszczu dżungli.

— No dobra — krzyknął Jerry. — Nabożeństwo skończone. Siadajcie do kolacji. —

Powtórzył po sutolsku.

Ludzie rozeszli się do chat. Wojownicy ucisnęli dłonie swym niedawnym jeńcom i także poszli do domu.

— Chodźcie za mną — powiedział Jerry i poprowadził ich przez wieś. — Nie martwcie się o waszego przyjaciela z marynarki wojennej. Kazałem chłopcom uważać z tymi procami. Ci faceci będą w najgorszym wypadku mieli niezły ból głowy, z wyjątkiem tych trafionych lotkami. Był w nich środek usypiający. Obudzą się za jakąś godzinę,

109

mOŻe dwie, a/e będą tak ogłupiali, że nie powinni nas niepokoić aż do końca dnia.

— Widzę, że prowadzi pan ożywioną pracę misyjną pośród tubylców — zauważył doktor.

— Och, oczywiście, znają mnie od lat.

— To jak to jest — dopytywał się Dave — oni naprawdę są kanibalami, czy to był tylko żart?

— Nie, to nie żart. Nie udało mi się jeszcze nawrócić wszystkich mieszkańców wyspy, więc nie byłem pewien, jak postąpią wobec obcych. Nie wiedziałem, kiedy uda mi się tu dotrzeć, żeby im powiedzieć, że jesteście moimi przyjaciółmi, więc wolałem wzbudzić w was ostrożność.

— Szubrawiec z pana, ojczy Garrison! — odezwała się pani Flaherty.

— Ocaliłem wasze głowy, nieprawdaż? Komuniści ostro się za was wzięli. Dlatego powiedziałem wojownikom, żeby postarali się o naprawdę przekonujące przedstawienie.

— Mnie to rzeczywiście przekonało — odparł Jay.

— Iwanowicza także — dodał doktor. — Był szczęśliwy, że może nas zostawić i uciec.

— A co z komandosami?

— Iwanowicz i rebelianci mają ich w swoich rękach.

— No cóż... pozostaje nam się modlić, by Najwyższy pomógł im się z tego wydostać. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Jerry zaprowadził ich do małej słomianej chaty na balach stojącej w samym centrum wsi.

— To moja chata. Może nie wygląda imponująco, ale jest moją twierdzą, to znaczy, chciałem powiedzieć, plebanią.

Po stromych schodkach wspięli się do środka. W środku było niewiele wygod: prycze, mały piecyk, niewielkie biurko zrobione z drewnianych skrzynek na owoce. Na ścianie wisiał krzyż.

110

— Usiądźcie i odpocznijcie sobie — powiedział. Skorzystali z zaproszenia.

Wtedy Jeny wyciągnął coś spod pryczy i postawił przed doktorem i Jayem. Rozpoznali to natychmiast.

Przedmiotem tym była walizka Liii, podziurawiona, porysowana, pogięta, zniszczona przez wodę.

Doktor Cooper otworzył walizkę. Większość jej zawartości zniknęła.

— Suktay i Zebu mi to przynieśli, kiedy powiedziałem im o pańskiej córce — wytłumaczył Jeny. — Obawiam się, że większość z rzeczy Liii została zabrana, a potem sprzedana przez miejscowych domokrażców, ale i tym nie można wzgardzić. To dowód na to, że jesteśmy coraz bliżej!

— Kto znalazł tę walizkę?

— Kolo, stary poławiacz pereł, któż by inny? Moi ludzie już go szukają.

Lila przecierała ściany kontenera ręką, zbierając krople osiadłej na nich wody na dłoni.

Stamtąd wlewała życiodajny płyn wprost do ust. Najpierw zebrała wilgoć z jednej strony pokrywy, a potem z drugiej. Starła się przy tym nie uronić ani jednej kropli. Skraplająca się woda nie była słona.

Każda cenna kropla była bowiem dla niej darem od Boga. Wielka wdzięczność narastała w jej sercu z każdym zbawiennym łykiem. Zaczęła płakać.

Głód i palące pragnienie stawały się dla niej powoli czymś normalnym.

Nigdy się nie spodziewałam, że kropla wody będzie dla mnie znaczyć tak wiele, pomyślała. Boże, zbyt wiele rzeczy przyjmujemy za oczywiste, nie dziękując ci nawet,

Ul

że nam je dajesz. Dziękuję Ci, Panie, za tę wodę ze ścian. Dziękuję, że pozwalasz mi jeszcze żyć. Dziękuję, że wytrzymałaś ze mną, gdy wściekałam się na Ciebie i chciałam robić wszystko po swojemu.

Przypomniała sobie o jeszcze jednej osobie, której sprawiła ból — o swym ojcu.

Przypomniała sobie siebie ciskającą słowa gniewu i nienawiści: „Nigdy nie kochałeś mamy! Jedyną osobą, o której tak naprawdę myślisz, jesteś ty sam, ty i te twoje przedsięwzięcia!”

Skrzywiła się na wspomnienie dalszych słów: „Mam już dość! Męczy mnie to ciągle jeżdżenie za tobą po ca/ym świecie. Me jestem twoim niewolnikiem, jestem twoją córką. Zasluguję na lepsze traktowanie i mama też zasługiwała na lepsze, jeśli to w ogóle dla ciebie coś znaczy! Chcę wrócić do domu! Nie mam zamiaru zostać w Japonii ani jednego dnia dłużej! Nie będziesz mnie ignorował, tak jak ignorowałeś mamę!”

Nie skarcił jej, nie skrzyczał, nawet nie podniósł głosu. Powiedział tylko: „Zadzwoń do pułkownika Griffitha. Może on załatwi ci na jutro samolot.”

Lila bardzo wyraźnie to wszystko pamiętała. Położyła się na wieku drewnianej skrzyni, odwróciła twarz do ściany i zaczęła płakać. Jej świat się rozpadł, a ostatnią rzeczą, jaką każde z nich będzie pamiętać, są okrutne, bolesne słowa wypowiedziane przed rozstaniem. Czy tak właśnie miało się to skończyć?

— Panie — powiedziała głośno — dziękuję Ci za tatę i Jaya. Dziękuję ci za to, że mnie kochają bez względu na to, jak okropnie ich traktuję. Przykro mi, że sprawiłam im ból. Żałuję, że myślałam tylko o sobie i swoich uczuciach, a nie zastanowiłam się ani przez moment, co czują inni. — Musiała przerwać, by nabrać powietrza i nieco się uspokoić.

— Jezu... jeśli tylko pomożesz mi się stąd wydostać... przepraszę tatę za wszystko. Proszę, pozwól mi go przeprosić!

112

^ Ważna \ ^ rozmowa jA

Jeny Garrison podjął swoich gości z wielkimi honorami. Także członkowie plemienia Sutolo otoczyli ich wielką serdecznością oraz wszelkimi dostępnymi wygodami. Wszyscy czworo mogli wziąć kąpiel. Każde otrzymało od tubylców świeże ubrania; doktor Cooper dostał nieco na niego za duże, używane spodnie, Jay — szorty, Zły Dave — plecioną spódnice z trawy, zaś pani Flaherty — powiewną, kwiecistą suknię. Ich stare ubrania wzięto do prania w strumieniu. Kolacja przygotowana przez kilka kobiet z wioski przerosła ich najśmielsze oczekiwania; była to istna uczta z owoców morza.

— Tylko zostawcie coś dla tego... jak mu tam? — odezwał się Jeny.

— Porucznik Joe Adams — odparł doktor.

— Jaką rolę on odgrywa w całej tej historii?

— To rządowy nudziarz — odrzekł Dave. — Frajer próbował nas aresztować!

Doktor Cooper starał się udzielić bardziej precyzyjnej odpowiedzi.

113

—M sądzę, on jjeco)udzie tworzę odówlfOEPPZ-

nawczy z okrętu wojennego U. S. S. Findley. Szukają starliftera, tak jak my wszyscy.

— Nie zaszli w tych poszukiwaniach zbyt daleko, prawda? — rzekł Jeny.

— Rzeczywiście. Jego ludzie nadal sajeńcami rebeliantów i szczerze mówiąc nie wiem, co można w tej sprawie zrobić.

Objadający się cytrusowymi owocami Dave wybełkotał z ustami pełnymi jedzenia:

— Jeśli chodzi o mnie, to zacznę pomagać Adamsowi dopiero wtedy, kiedy on zacznie pomagać nam.

Jeny dostrzegł coś poprzez uchylone drzwi.

— Skoro mowa o Adamsie...

Wzrok wszystkich podążył za spojrzeniem misjonarza. Widok, który ujrzeli, był doprawdy dziwny. Przy głośnym biciu bębnow Suktay i Zebu, wyprostowani i dumni, wkraczali do wioski na czele swych żołnierzy, niczym wodzowie powracający ze zwycięskiej wojny.

Gęstniejący tłum witał ich triumfalnymi okrzykami.

Za plecami wodzów dwaj wojownicy nieśli na barkach długą tykę, na której, niczym upolowana zwierzyna, wisiał za ręce i nogi porucznik Joe Adams, nieprzytomny z bezsilnej wściekłości.

Doktor Cooper i jego przyjaciele byli tak zaskoczeni tym widokiem, że nie wiedzieli, czy mają śmiać się, czy też oburzać.

— Hmm, niektóre obyczaje trudno jest wykorzenić — przyznał Jerry ze wzruszeniem ramion.

— Chodźmy, trzeba pomóc temu biedakowi.

Wybiegli z chaty Jerry'ego, by wyjść naprzeciw powracającej wyprawie. Suktay i Zebu z radosnym uśmiechem podeszli do misjonarza, pochylili się nisko, po czym przekazali mu Adamsa jako specjalny podarunek.

Jerry nie poskąpił im pochwał.

— Dobra robota! Przynieśliście wspaniałą zdobycz! Adams miał już dość bycia zdobyczą.

114

— Hej, ludzie! Powiedźcie coś tym dzikusom! Zły Dave miał jednak inne zamiary.

— Zaraz, zaraz, nie tak szybko! Może najpierw my porozmawiamy sobie z panem!

Adams rzucił Dave'owi pełne wściekłości spojrzenie.

— Nikt nie będzie mnie do niczego zmuszał, drogi panie. Nie mam zwyczaju rozmawiać z kimkolwiek wisząc do góry nogami.

W odpowiedzi Dave zwrócił się do wojowników.

— Dobra, wrzucacie do kotła! Już dawno czas na obiad!

Wojownicy ochoczo zabrali się do wykonania rozkazu.

— Nie, nie, zaczekajcie! — wrzasnął Adams. Doktor Cooper postanowił wkroczyć do akcji.

— Poczekajcie, przyjaciele. — Wojownicy położyli Adamsa z powrotem na ziemi. Doktor Cooper przyklęknął, by z nim porozmawiać.

— Cieszę się, że widzę pana żywym.

Adams nie był pewien, jak traktować słowa doktora.

— No... ja też.

— Dave starał się, jak sędzę, przekonać pana o konieczności współpracy z nami. Przyznaję, że w pełni się z nim zgadzam. Można by powiedzieć, przepraszam za porównanie, że wszyscy znajdujemy się w tym samym garnku. Innymi słowy, wszyscy mamy ten sam cel, takie same problemy w jego osiągnięciu oraz tych samych wrogów.

— Więc co pan proponuje?

— Jestem pewien, że ma pan pewne informacje, które mogłyby okazać się dla nas przydatne, zaś my mamy kontakty wśród tubylców, co z kolei mogłoby się przydać panu, panie poruczniku. Obaj nie posiadamy ani ludzi, ani broni. Mamy tylko siebie. Jeśli zapomni pan o obowiązku aresztowania nas i będzie z nami współpracował, być może razem uda nam się osiągnąć nasz wspólny cel.

115

nad tym, czy tak naprawdę zdolny jest kogokolwiek aresztować wisząc na drągu. Zwrócił się do nich wszystkich:

— Czy wszyscy jesteśmy po tej samej stronie i działamy dla dobra Stanów Zjednoczonych?

Pokiwali głowami. Zły Dave zaczął śpiewać:

— Mój kraju, to dla ciebie, słodka ziemi wolności...

— W porządku, w porządku — przerwał mu Adams.



— Zgoda. Działamy razem.

Na polecenie Jerry'ego, wojownicy ostrożnie rozciąli sznury na rękach i nogach Adamsa.

— Proszę do środka, poruczniku — powiedział Jeny.

— Obiad już na pana czeka.

W tym momencie z drugiego końca wsi rozległo się głośnie wołanie. Następny pochód wracał do wioski.

— Kolo! — krzyknął radośnie Jeny. — Znaleźli go!

Kolo, mały, łysy mężczyzna o szerokim uśmiechu i krzywych kończynach, zbliżał się do nich spiesznym krokiem. Kilku członków plemienia szło za nim, niosąc pełno różnych przedmiotów. Amerykanie rozpoznali je natychmiast.

Adams nie potrafił ukryć podniecenia.

— On znalazł samolot!

Jerry ostrzegł ich ściszym głosem:

— Nie biegnijcie w jego stronę, proszę. Pozwólcie, by podszedł tu sam. Bądźcie cierpliwi.

Posłuchali jego rady. Jednak gdy filigranowy mężczyzna podszedł do misjonarza, by się z nim przywitać, ich oczy skierowały się na przedmioty, które tubylcy układali przed nimi w równych rzędach. Były tam pojemniki i niewielkie skrzynki z napisem USA, kilka toreb należących do członków załogi, parę narzędzi, zużyta butla tlenowa, nie nadmuchana tratwa ratunkowa.

Adams podszedł do rzeczy i zaczął otwierać jedną z toreb. Mały poławiacz pereł wrzasnął na niego z oburzeniem i chwycił porucznika za ramię. Adams odepchnął go na bok.

116

— Nie, poruczniku, proszę! — krzyknął Jeny. — Niech pan się odsunie!

Porucznik poczuł nagle na plecach zimny dotyk metalowego ostrza. Był to grot włóczni.

Kilka innych włóczni natychmiast skierowało się w jego stronę. Tubylcy byli gotowi w każdej chwili z nim skończyć.

Jeny wyrzucił z siebie potok słów po sutolsku, starając się uspokoić wojowników, wytłumaczyć zachowanie porucznika. Potem delikatnie wziął Adamsa za ramię i powiedział:

— Proszę się odsunąć. Obraża ich pan.

— Ależ to własność Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych! — zaprotestował wojskowy.

— Nie, przynajmniej nie dla nich — odparł Jeny. — Proszę stanąć obok innych.

Adams posłuchał misjonarza. Włócznie wojowników z pewnością ułatwiły mu podjęcie tej decyzji.

Jeny zwrócił się teraz do członków plemienia oraz do poławiacza pereł. Próbował wytłumaczyć całe to nieporozumienie i przeprosić w imieniu Adamsa.

Tubylcy wyglądali na przekonanych słowami misjonarza. W końcu Jerry powrócił do grupki Amerykanów, podczas gdy wojownicy wraz z poławiaczem pereł przystąpili do dalszego układania przedmiotów na ziemi.

Jerry odezwał się cicho:

— Przyjęli pańskie przeprosiny.

— Przeprosiny! — oburzył się Adams. Jerry nie pozwolił mu powiedzieć nic więcej.

— Powiedziałem im, że bardzo pan żałuje, iż naruszył pan ich zwyczaje. Rozumieją teraz, że jest pan z dalekiego kraju i nie zna dobrych manier.

— Jasne — przyznał Dave, patrząc na Adamsa. — W pełni się z nimi zgadzam.

W tym momencie Jerry musiał wskoczyć między nich, żeby zapobiec bójce.

117

— Zaraz, posłuchajcie: Kolo uważa się za kupca. Myśli, że przybyliście tutaj, aby kupić jego skarby. To dlatego wyklada je przed wami.

— Ale to nie jest jego własność! — cicho zaprotestował Adams.

— Ależ tak. Wedle tutejszych zwyczajów, jeśli wyłowisz coś z morza, to należy to do ciebie. Nikt poza tobą nie może sobie rościć do tego przedmiotu żadnych praw.

— Z morza? — powtórzył doktor Cooper. Jerry zobaczył, że Kolo jest gotów.

— Lepiej niech on sam wam o tym opowie. — Powiedział coś do Kola po sutolsku, a wtedy poławiacz pereł rozpoczął prezentację swych towarów. Mowa jego była bardzo barwna, okraszona szerokimi, wymownymi gestami oraz dramatycznymi zmianami barwy głosu. W Stanach byłby znakomitym komiwojażerem.

Jerry tłumaczył słowa Kola na angielski.

— Oto niezwykle rzadkie skarby wyłowione przez Kola z morskiego dna. Są to kawałki gwiazd, planet, wielkich ptaków, które z rykiem fruują po niebie. Nikt wcześniej nie widział tylu cudów naraz i nikt już więcej nie zobaczy. A teraz, drodzy amerykańscy barbarzyńcy, przedstawię wam niezwykłą ofertę...

Prezentacja zdawała się nie mieć końca. Z niecierpliwością oczekiwali, aż Kolo zakończy przemowę, by móc wreszcie obejrzeć przyniesione przez niego rzeczy, na razie jednak mogli tylko starać się wyglądać na zainteresowanych jego słowami.

Wreszcie Kolo zamilkł, a Jerry przetłumaczył ostatnie słowa prezentacji.

— Więc podejdźcie teraz i spójrzcie na jego bogactwa, magiczne skarby, które spadły z nieba.

— Jerry dodał parę słów od siebie. — Możecie obejrzeć jego towary, ale proszę, bądźcie przy tym uprzejmi i nie dotykajcie za dużo.

Powoli, dostojnie zbliżyli się do towarów, które w równych rzędach leżały na ziemi.

118

— A więc te rzeczy spadły z nieba — powiedział doktor.

— I zostały wyłowione z morskiego dna — dodał Adams. — Przykro mi, doktorze, ale to nie wygląda zbyt dobrze. Prawdopodobnie kapitan Weisfield próbował wodować, lecz wszystkie te przedmioty wskazują na to, że samolot nie wytrzymał uderzenia i rozpadł się na kawałki. Proszę zwrócić uwagę na nie nadmuchaną tratwę ratunkową. Normalnie znajduje się ona tuż przy wyjściu awaryjnym i zostaje nadmuchana od razu po wodowaniu. Pewnie nie było jej komu nadmuchać, bo nikt nie przeżył.

Jay przyniósł jeden z przedmiotów ojcu.

— Tato... torebka Liii.

Doktor Cooper rozpoznał ją natychmiast i prawie tego pożałował. Za zgodą Kolo otworzyli torebkę. Była pusta. Prawdopodobnie Kolo zdążył już sprzedać jej zawartość, tak jak sprzedał medalion tubylcowi z Kurnoe. Jednak wyżłobione na torebce inicjały „L. M. C.” mówiły same za siebie.

— Jerry — spytał doktor — czy Kolo może nam coś powiedzieć o miejscu, w którym rozbił się samolot, i o stanie, w jakim się on znajduje?

Jerry wdał się w długą rozmowę z Kolo. Na niektóre pytania Kolo zdawał się odpowiadać chętnie, na inne kręcił tylko w milczeniu głową.

Jerry przedstawił im wynik rozmowy.

— Mówi, że skarby nie znajdują się w tym samym miejscu, lecz są porzucane po dużym obszarze morskiego dna. Nie chce powiedzieć, gdzie. To jego sekretna kryjówka i nie chce, by ktokolwiek o niej wiedział.

Adams pokręcił głową.

— Zdaje się, że samolot rozleciał się na kawałki. — Zwrócił się do Jerry'ego — Czy są jakieś ślady samego samolotu, jakieś części kadłuba albo silnika?

— Hmm... a jak wyglądał ten samolot? — spytał Jerry.

— Wielki, prawie 50 metrów długości, cztery silniki...

— Jakiego koloru?

119

— Brunatnozielony.

Jerry rozmawiał przez chwilę z Kołem, a potem zwrócił się do porucznika.

— Kolo jest podejrzliwy. Uważa, że chcecie wydrzeć mu jego tajemnicę.

— Trafiliśmy w czułe miejsce — zauważył doktor Cooper. — Zrozumiał, o czym rozmawiamy.

— Proszę mu powiedzieć, że nie chcemy mu niczego zabrać. Proszę powiedzieć, że samolot jest nasz.

— Zrobię to — odparł cicho Jerry — ale proszę, na razie nie pytajmy go o nic więcej. Jeśli rozbudzimy w nim podejrzliwość, w ogóle przestanie z nami rozmawiać.

— Ale... — zaczął Jay. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z ojcem. Obaj czuli to samo: byli tak blisko! Nie mogli się teraz tak po prostu poddać!

— Rzućmy okiem na te szczątki — powiedział Adams. — Może czegoś się z nich dowiemy. Poza tym damy handlarzowi czas na nabranie zaufania.

Zaczął przeglądać zawartość koszyka wypełnionego drobnymi przedmiotami. Na widok jednego z drobiazgów brew porucznika zmarszczyła się z zaciekawienia.

Doktor Cooper, Jay i pani Flaherty szybko znaleźli się obok Adamsa, który trzymał w ręku mały, metalowy przedmiot w kształcie litery „T”.

— Co to jest? — spytał chłopiec.

— To klucz od pokrywy. — Zauważył ich pytające spojrzenia, więc zaczął wyjaśniać — Od po... — Zawahał się przez chwilę. — A zresztą. Iwanowicz mówił prawdę. Samolot przewoził na pokładzie ściśle tajną broń laserową. Znajdowała się ona w specjalnej pokrywie, wielkim, stalowym kontenerze, który nie przepuszcza powietrza, wody, jest odporny na kule i tak dalej i tak dalej. Ten klucz jest częścią mechanizmu zamykającego właz kontenera. W razie niebezpieczeństwa lub groźby przechwycenia go przez wroga, właz można zamknąć, a wtedy klucz sam się odłamuje, by nie dopuścić do otwarcia pokrywy

120

przez nieupoważnione do tego osoby. Ma to dać nam czas na odnalezienie kontenera, zanim ktoś inny, jak ten śmieciarz tutaj, zdoła wdrzeć się do środka i złupić jego zawartość.

— Co, według pana, znaczy odnalezienie tego klucza? — spytał doktor.

— Przede wszystkim dobre wiadomości dla rządu Stanów Zjednoczonych. Znaczy to bowiem, że zanim samolot wpadł do wody, ktoś zdążył zamknąć i zabezpieczyć pokrywę. To z kolei znaczy, że laser najprawdopodobniej bez uszczerbku przetrwał katastrofę, mimo że kontener znajduje się pod wodą. — Po czym dodał zdesperowany. — Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie go szukać.

Jay wziął głęboki oddech. Doktor Cooper spojrzał na niego pytającym wzrokiem, lecz chłopiec nie odpowiedział ani słowem.

— O co chodzi, synu? — spytał doktor.

— Chyba nie warto nawet o tym mówić...

— O czym? — Nagle doktor Cooper zrozumiał. — Aha... Panie poruczniku, proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy znalazłoby się w tym pojemniku miejsce dla trzynastoletniej dziewczynki, kogoś nieco mniejszego niż Jay?

Adams spuścił głowę i pokręcił nią przecząco.

— Proszę nawet o tym nie myśleć, doktorze. To po prostu zbyt nieprawdopodobne...

— Czy jest tam miejsce?

— Doktorze, będzie pan bardzo rozczarowany...

— Czy jest tam miejsce? Adams dał za wygraną.

— Tak, miejsce tam jest. W najlepszym jednak wypadku daje to panu tylko fałszywą nadzieję. Kontener od pięciu dni znajduje się pod wodą. Nawet gdyby ktoś w nim był, to już dawno zabrakłoby mu powietrza.

— Dalsza dyskusja nie ma żadnego sensu. Musimy znaleźć ten kontener. Jerry!

— Tak, doktorze?

— Musimy zadać Kołowi pewne pytanie.

Wymagało to długiego, wytrwałego tłumaczenia i przekonywania, nim Kolo uznał wreszcie, że być może ci ludzie nie są wcale szpiegami, którzy dybią na jego tajemnice. Adams próbował mu wytłumaczyć, jak wyglądał kontener, lecz Kolo nie rozumiał. Adams narysował go na piasku, ale i ten sposób zawiódł.

— Jest duży, bardzo duży.

Jeny przetłumaczył to Kołowi, ten jednak patrzył na misjonarza błędnym wzrokiem. W końcu wymamrotał coś pod nosem.

— Jak duży? — spytał Jeny. — Musi mu pan pokazać. Adams tracił cierpliwość. W końcu złapał jakiś patyk

i nakreślił nim pełnowymiarowy kształt kontenera. — Jest... tak długi jak to, jasne?

Metalowy, bardzo twardy, zielony, ma duże drzwi po tej stronie... — Jeny tłumaczył wszystko Kołowi. — Czy on coś z tego rozumie?

Wtedy zobaczyli błysk w jego oczach. Kolo nagle zrozumiał.

Jerry spytał go, czy widział pojemnik.

Kolo skrzyżował ramiona na piersiach, zacisnął usta i pokręcił głową.

Adams ze złością odrzucił patyk.

— On kłamie! Dobrze wie, o czym mówimy!

— Jerry — powiedział doktor pełnym napięcia głosem. — Musimy wiedzieć, gdzie to jest!

Kolo znów pokręcił głową.

Doktor Cooper podszedł do poławiacza perel.

— Proszę nam powiedzieć. Musimy znaleźć ten pojemnik. Jerry chciał to przetłumaczyć, lecz Kolo pokręcił głową,

zanim misjonarz zdołał wypowiedzieć choć jedno słowo.

— Zrozum, człowieku, tam może być moja córka! Jerry powiedział to Kołowi, lecz ten nie zmienił swego

postanowienia.

Doktor Cooper z trudem powstrzymał się, by nie chwycić małego człowieczka za szyję.

Wstrzymując oddech, starał się opanować targające nim emocje.

Jerry starał się go uspokoić.

— Doktorze Cooper...

— Przepraszam. — Doktor obrócił się na pięcie i ruszył 'ciężka, w stronę dżungli.

— Nie martwcie się — odezwał się cicho Adams do stojących obok niego Amerykanów. —

Wiemy wystarczająco dużo. Znajdziemy ten kontener.

Pani Flaherty podążała wąską ścieżką, uważnie rozglądając się dokoła. Po pewnym czasie dotarła do niewielkiej polanki, gdzie na pniu przewróconego drzewa siedział w zamyśleniu doktor Cooper. Podeszła do niego powoli. W jego oczach ujrzała głęboki ból. Musiał zauważyć jej obecność, lecz w żaden sposób tego nie okazywał.

Usiadła obok niego i po krótkiej, cichej modlitwie odezwała się łagodnym głosem:

— Wszystko będzie dobrze, Jake. Bóg jest miłosierny. Westchnął głośno i spróbował się uspokoić.

— Przepraszam. Musiałem oddalić się od tego człowieka, by nie zrobić czegoś głupiego.

Pani Flaherty spojrzała na niego mądrymi, rozumiejącymi oczami i rzekła:

— Jake, przecież pan jest kłębkiem nerwów zamkniętym w twardej skorupie. Wybuchnie pan któregoś dnia. Boję się o pana.

Podniósł wzrok.

— Jest pani bardzo mądrą kobietą, pani Flaherty. Zamyśliła się przez chwilę.

— Miło mi to słyszeć od pana. Ale proszę mi coś powiedzieć... Czy pańskie zmartwienia nie mają czasem czegoś wspólnego z Katherine?

Twarz doktora natychmiast przybrała inny wyraz.

— Wie pani, że unikam tego tematu. A poza tym nie wydaje mi się, by miało to jakikolwiek związek z sytuacją, w której się znajdujemy.

— Jak pan uważa. To wszystko przychodzi mi na myśl Johna, mojego zmarłego męża. Czy mogę panu powiedzieć, dlaczego?

123

Doktor Cooper s\|aia\ svę zachować foSbre Tnanrcr).

— Jeśli pani sobie tego życzy...

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tak osobisty ton, ale muszę panu wyznać, że bardzo kochałam tego człowieka. Nie było dla mnie nikogo lepszego od Johna Flaherty'ego. Był człowiekiem pełnym wiary, pełnym wewnętrznej siły, który kochał mnie z całego serca. Jestem dumna, że noszę jego nazwisko. Kiedy Bóg zabrał go do siebie, nie mogłam pogodzić się z tą myślą, nie mogłam nawet w to uwierzyć.

Pani Flaherty przerwała na chwilę, by nabrać odwagi.

— Dlatego nie chciałam się z nim pożegnać. Nie pozwalałam sobie samej smucić się ani płakać. Nie wypowiadałam nawet jego imienia. Być może wydawało mi się, że jeśli nie dopuszczę do siebie prawdy, John nigdy tak naprawdę mnie nie opuści.

Wydaje mi się więc, że dobrze pana rozumiem. Wiem jak to jest chować się w grubej skorupie i nigdy z niej nie wychodzić. Dla mnie taką skorupą była praca. Podróżowałam, prowadziłam dochodzenia, szukałam sensacji, pisałam. W ciągu trzech lat zrobiłam pewnie więcej niż w ciągu całego wcześniejszego życia. Teraz już wiem, dlaczego. To pomagało mi nie myśleć o bólu.

— Ale wie pan co? Dopóki siedzi się w takiej skorupie, nigdy nie jest się wolnym. Jest się więźniem... takim, jak być może w tej chwili jest Lila. Co gorsza, dopóki siedzi pan w tej skorupie, nie może pan być przy swych bliskich, gdy tego potrzebują.

Doktor Cooper uspokoił się. Uważnie słuchał jej słów. Potem spytał cichym głosem:

— Skąd pani tyle o mnie wie?

— Pamięta pan naszą rozmowę w łodzi Dave'a tamtej nocy? Pamięta pan, jak bardzo zamknął się pan w sobie i nie chciał mówić o Katherine? Od razu pojęłam, jaki ból czuje pan w głębi serca. Sama też to kiedyś czułam. —

124

Potem dodała ostrożnie — Ale powiem panu coś jeszcze. Widziałam, jak bardzo Jay chciał porozmawiać o swojej mamie. Jake, on chce czuć, chce kochać wspomnienie o matce, chce, żeby wasze serca biły podobnym rytmem. Odczuwa ból za każdym razem, gdy uderza w tę pańską skorupę, chcąc pana z niej wydobyć.

Doktor Cooper przyznał ściszone głosem:

— Zawsze wiedziałem, że tak jest, mimo że on nigdy nie powiedział tego wprost. Za to Lila wyraziła swoją opinię aż za bardzo jasno. Mieliśmy ostrą wymianę zdań tuż przed jej odlotem...

— Głos doktora załamał się nagle.

Pani Flaherty dotknęła jego ramienia.

— Lila jest w rękach Boga. On wie, co dla kogo jest najlepsze. A pan, Jake, także wie, co powinien pan teraz zrobić.

— Tak pani myśli?

Wstała, by odejść. Przedtem jednak odezwała się do niego łagodnie:

— Rana nigdy się nie zagoi, dopóki nie zaczniemy jej leczyć. Niech pan wyjdzie z tej skorupy, Jake. Niech pan pożegna się z Katherine. Niech pan nie boi się czuć. Pańskie dzieci potrzebują ojca, który pozwoli im zbliżyć się do siebie. A teraz lepiej już sobie pójść.

Cicho opuściła polanę. Doktor Cooper został sam, pogrążony w myślach, modlitwie i własnych uczuciach.

Niedługo później Jay wybrał się na poszukiwanie ojca; znalazł go samego na niewielkiej polanie.

Doktor siedział pochylony. Płakał. Jay domyślił się tego po długich, miarowych spazmach, które targaly ciałem ojca.

Chłopiec miał już do niego podejść, gdy czyjaś dłoń delikatnie chwyciła go za ramię.

Pani Flaherty.

— Wszystko w porządku — wyszeptała. — On po prostu leczy starą ranę — uśmiechnęła się.

— Zresztą, pewnie sam niedługo ci o tym opowie.

125

^ historia \i L^ Jonasza ^

Lila odpoczywała w ciepłym, uspokajającym świetle czerwonych lampek maszyny. Powoli oddychała tlenem z butli. Wcześniej zastanawiała się często, na jak długo starcza tlenu z jednej butli, potem jednak doszła do wniosku, że jak się skończy, to się skończy i trudno. Nie chciała, by to się stało, lecz była na to przygotowana.

Wyjęła z kieszeni małą, kieszonkową Biblię i ostrożnie zaczęła przewracać mokre kartki.

Odnalazła Księgę Jonasza. Widok tej cieniutkiej księgi w środku Biblii w dziwny sposób podniósł ją na duchu. Dotąd była to dla niej po prostu interesująca historia, nic więcej. Teraz Jonasz, ten zbuntowany prorok, stał się kimś bardzo bliskim. Teraz dopiero wiedziała, co musiał czuć uwięziony w brzuchu wieloryba. O wiele lepiej rozumiała też, dlaczego wpadł w takie tarapaty: próbował uciec od Boga.

— Zupełnie tak jak ja — przyznała.

Przypomniała jej się rozmowa z porucznikiem Jamisonem:

„Weźmy na przykład Jonasza” powiedział wtedy porucznik. „Próbował uciec od Boga, więc Bóg sprowadził

126

pewne problemy. W ten sposób zatrzymał Jonasza, by móc z nim porozmawiać.”

„Dzięki temu, że połknęła go wielka ryba, tak?” odparła.

„Właśnie. W ten sposób chciał ściągnąć jego uwagę na Siebie.”

Lila jeszcze raz zaczęła czytać opowieść o Jonaszu. Tak, Bóg ściągnął na Siebie jej uwagę.

Gdy tak czytała modlitwę Jonasza wypowiedzianą w brzuchu wielkiej ryby, z zaskoczeniem zauważyła, że jest to także jej modlitwa:

„W utrapieniu moim wołałem do Pana,  
a On mi odpowiedział.

Z głębokości wzywałem pomocy,

a Ty usłyszałeś mój głos.

Rzuciłeś mię na głębię, we wnętrze morza,

i nurt mnie ogarnął.

Wszystkie Twe morskie bałwany i fale Twoje  
przeszły nade mną.

Rzekłem do ciebie: Wygnany daleko od oczu

Twoich,

jakże choć tyle osiągnę, by móc

wejrzeć na Twój święty przybytek?

Wody objęły mię zewsząd, aż po gardło,

ocean mnie otoczył,

sitowie ogoliło mi głowę.

Do posad gór zstąpiłem,

zawory ziemi zostały poza mną na zawsze.  
Ale Ty wyprowadziłeś życie moje z przepaści,  
Panie, mój Boże!

Gdy gasło we mnie życie,  
wspomniałem na Pana,  
a modlitwa moja dotarła do Ciebie,  
do Twego świętego przybytku.

127

Czczyciele próżnych marności opuszczają Łaskawego dla nich. Ale ja złożę Tobie ofiarę, z  
głośnym dziękczynieniem. Spełnię to, co ślubowałem. Zbawienie jest u Pana".  
Łzy napłynęły jej do oczu.

— Tak, panie, to ja. Próbowałam uciec, zamiast stawić czoła problemom. Szkoda, że potrzeba  
było aż takiej sytuacji, bym mogła to dostrzec. Cóż... jeśli umrę, to umrę, ale jeśli przeżyję...  
wtedy, Panie, zrobię to, co zrobił Jonasz: dotrzymam obietnicy. Zrobię to, co chcesz, żebym  
zrobiła, pogodzę się z tatą.

Poczuła w sercu spokój, spokój tak wielki, że nie miało to już dla niej wielkiego znaczenia, że  
znajdowała się w metalowej puszce na dnie oceanu. Nie czuła się uwięziona; nie czuła się  
samotna. Była w zgodzie z Bogiem.

Położyła głowę na drewnianym wieku skrzyni i zasnęła.

Następnego ranka bicie bębnow i wrzawa wyrwały doktora Coopera i Jaya ze snu.

— Co to? — spytał zaspany Jay.

Doktor Cooper stał w drzwiach chaty i patrzył w stronę plaży.

— Jakies coś przypłynęły.

Jay stanął u boku ojca. Pani Flaherty stanęła w progu swojej chaty, zaś Zły Dave i porucznik  
Adams przepychali się w drzwiach swojej.

Wszyscy widzieli dokładnie, jak grupa wojowników wyciąga na brzeg cztery wielkie czółna,  
podczas gdy reszta

128

plemienia tłoczy się wokoło z wyraźnym podekscytowaniem.

Jeden z wojowników z triumfalnym okrzykiem uniósł wysoko nad głowę metalowy cylinder.  
Porucznik Adams natychmiast rozpoznał ten przedmiot

— Butla do nurkowania!

— Co pan powie! — zaśmiał się Dave.

Adams w pośpiechu założył spodnie i szedł po drabince na ziemię. — Znaleźli wrak naszej  
łodzi!

Jerry Garrison stał na plaży i przywoływał ich energicznymi ruchami rąk. Błyskawicznie  
narzucili na siebie jakieś ubrania i pobiegli na miejsce zbiegowiska.

— Poruczniku Adams — rzekł Jerry — całe to wyposażenie pochodzi zapewne z pańskiej  
łodzi!

Adams przejrzał rzeczy zebrane w czółnach.

— Tak, zgadza się. To nasz sprzęt do nurkowania... butle, maski, płetwy! — Zawahał się. — I  
co teraz? Czy skoro wyciągnęli te rzeczy z morza, to uważają za swoją własność?

Jerry uśmiechnął się nieśmiało i pokiwał głową.

— Proszę się nie martwić, już z nimi o tym rozmawiałem. Powiedzieli, że z przyjemnością  
wypożyczą panu wszystko, czego tylko pan potrzebuje.

Adams uśmiechnął się z przekąsem.

— To miło z ich strony. — Nagle zauważył coś jeszcze. — O! Radio! — Wyciągnął  
niewielki nadajnik z dna łodzi i obejrzał go dokładnie. — Rozbite. A niech to! Muszę  
połączyć się z „Findleyem”. Na pewno zastanawiają się, co się z nami stało. — Adams

wyglądał na zmartwionego. — Tak bardzo chciałbym im powiedzieć, gdzie jesteśmy i co wiemy, zanim będzie za późno.

— Za późno? — zaniepokoił się doktor. Adams nie był skory do rozwijania tego tematu.

— Miejmy nadzieję, że rebelianci nie dotrą do kontenera przed nami.

729

Wielki biały jacht Iwanowicza wolno przesuwał się po spokojnych wodach oceanu około mili od Tukanii. W pewnej chwili obserwator na dziobie dostrzegł coś w błękitnej wodzie i krzyknął do sternika. Ten włączył wsteczny napęd i jacht powoli zaczął się cofać.

Większość członków załogi — a także paru rebeliantów — wychyliło się za burzę. Po chwili widzieli to już wszyscy.

Oto głęboko pod powierzchnią czystej jak kryształ wody majaczył rozedrgany kształt — ciemnozielony fragment skrzydła.

Rebelianci zakrzyknęli z radości. Iwanowicz podszedł do burty, by zobaczyć to na własne oczy. Uśmiechnął się i pokiwał głową.

— No, nareszcie! — powiedział po rosyjsku. — Szybko, sprawdzić prądy morskie. Opuścić szalupę! Mostek — połączyć się z partyzantami i powiedzieć im, by do nas dołączyli.

Zbliżamy się do miejsca katastrofy!

Trzej mężczyźni wypłynęli na morze w małym, nadmuchiwanym motorowym pontonie.

Krążąc po okolicy, wypatrywali w wodzie innych śladów samolotu.

Jakiś czas później znaleźli kolejny fragment. Natychmiast dali znak załodze jachtu, który podążył za nimi z głośnym dudnieniem silników.

Wkrótce od strony wyspy nadpłynęła łódź rebeliantów. Znowu znajdowali się w komplecie.

Nawet ci, którzy dopiero co wydobrżeli po ataku tubylców, byli pełni chęci do działania.

Iwanowicz wrócił na mostek i z zadowoleniem klasnął w dłonie.

— Szkoda, że nasi amerykańscy jeńcy pod pokładem nie mogą tego zobaczyć. Zwycięzcy biorą wszystko! To tylko kwestia czasu!

130

Porucznik Adams sprawdził sprzęt do nurkowania.

— Wygląda dobrze — powiedział. — Butle działają, powietrze jest nadal sprężone. Nurkował pan kiedyś, doktorze?

— Tak, obaj z Jayem trochę nurkowaliśmy.

— A pan, Dave?

— Nurkuję lepiej niż pan, z butlą, czy bez butli.

— No to zakładajcie to na siebie, wszyscy.

Adams wyjął kilka wielkich, niebezpiecznie wyglądających noży. — Weźcie sobie po jednym, na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Przygotujemy sprzęt i zaczniemy szukać.

Jerry, czy ma pan jakieś przypuszczenia, co do miejsca połowów Kola?

Jerry zastanawiał się przez chwilę.

— Wiem, że spędza sporo czasu na małym atolu\* na północ od wyspy, ale tak dawno...

Nagle od strony plaży rozległ się przeraźliwy wrzask. Jakiś człowiek biegł ku nim w szaleńczym pędzie, a na jego twarzy malowała się rozpacz.

Był to Kolo.

— O wilku mowa — odezwał się Adams.

— Chyba zjem go zaraz na śniadanie! — rzucił Dave. Kolo podbiegł do nich zdyszany i zaczął wyrzucać

z siebie potok słów. Był podekscytowany. Coś musiało go bardzo zdenerwować.

Jerry słuchał i tłumaczył:

— Mówi, że jacyś obcy przybyli do jego sekretnego miejsca. Wielu, wielu złych ludzi... wielkie czółno w kolorze mew...



\* atol — wyspa koralowa w kształcie ciągłego lub przerywanego pierścienia otaczającego lagunę

131

— Iwanowicz! — odgadł Adams.

— Znaleźli miejsce katastrofy! — zawołał Jay. Jerry tłumaczył dalej.

— Chce, żebyście mu pomogli, żebyście przepędzili złych ludzi.

Adams uśmiechnął się z zadowoleniem. — A co z kontenerem? Czy pokaże nam, gdzie on jest?

Jerry powtórzył pytanie porucznika po sutolsku. Kolo przytaknął i mówił dalej.

— Pokaże nam to miejsce — powiedział po chwili Jerry. — Mówi, że prądy zniosły kontener nieco dalej od resztek samolotu, ale źli ludzie są coraz bliżej tego miejsca.

— Czy zdążymy tam przed komunistami?

— Kolo mówi, że to możliwe, jeśli wyruszymy natychmiast.

Doktor Cooper, Jay i Dave zaczęli ładować sprzęt do czółna. Pani Flaherty zbierała wioślarzy. Adams zapytał Jerry'ego:

— Czy Kolo widział jakieś inne łodzie? Duże, szare łodzie? Okręty wojenne?

Jerry spytał Kola, a potem przetłumaczył jego odpowiedź:

— Nie, tylko tę wielką białą oraz jeszcze jedną, mniejszą, zapewne należącą do rebeliantów.

— Muszę skontaktować się z „Findleyem"! Właśnie wtedy do ich uszu dotarł odległy warkot samolotu.

— Tam! — krzyknął Jay i pokazał palcem w stronę morza.

Adams pobiegł na plażę, by lepiej się przyjrzeć.

— To jeden z naszych, helikopter z „Findleya”.

— Świetnie! — odezwał się Jay. — Nasi chłopcy wreszcie tu są!

— Na pewno znajdą rebeliantów, a może też kontener — powiedział Dave.

132

Lecz Adams zdawał się całkowicie pochłonięty czym innym.

— Szybciej, wciągamy te czółna do wody i odpływamy!

Doktor Cooper nie krył zdziwienia.

— Poruczniku Adams, marynarka wojenna zajmie się rebeliantami dużo lepiej niż my. Czy nie powinniśmy zaczekać, aż wojsko oczyści teren?

— Doktorze — odparł Adams — w normalnych warunkach tak właśnie bym zrobił. Ale to nie są normalne warunki. Nie dałbym grosza za to, że pańska córka żyje, ale jeśli tak jest... Musimy dostać się do kontenera zanim zrobią to rebelianci, a już na pewno zanim „Findley” w ogóle się do niego zbliży.

Doktor Cooper wyczuł, że Adams coś jeszcze przed nimi ukrywa.

— O czym pan nam jeszcze nie powiedział, poruczniku?

— Tylko o jednym drobiazgu, jednym małym zabezpieczeniu: laserze naładowanym taką ilością środków wybuchowych, że w razie eksplozji nie tylko kontener, ale i wszystko wokół niego po prostu zniknie z tego świata. Jeśli ludzie z „Findleya” będą mieli choćby najmniejsze podejrzenia, że laser może dostać się w obce ręce, natychmiast wydadzą mu rozkaz samozniszczenia. Wystarczy, że nawiążą z nim kontakt radiowy, reszta jest dziecinnie prosta.

— Nie ma sposobu, żeby temu zapobiec?

— Jak już powiedziałem, moje radio zostało zniszczone. Nie mogę się z nimi skontaktować, by powstrzymać wydanie rozkazu.

— Tato, jeśli zobaczą, że rebelianci znaleźli ten pojemnik... — zaczął Jay.

— Jeśli zobaczą, że rebelianci w ogóle się do niego zbliżają — przerwał mu Adams — może być po wszystkim.

Doktor Cooper wiedział już wystarczająco wiele.

— Zepchnijmy te czółna do wody.

Po chwili dwa wielkie czółna kołysały się na falach. Doktor Cooper, Jay oraz pani Flaherty wsiedli do jednego z nich, zaś Dave, Adams i Kolo — do drugiego. Czterech silnych wiosłarzy w każdej z łodzi wiosłowało zgodnie ze wskazówkami Kola. Wypłynęli na głębszą wodę, a potem skierowali się na północ, wzdłuż brzegu.

Jacht Iwanowicza opływał powoli olbrzymi atol. Załoga uważnie wyglądała mielizn i niebezpiecznych raf koralowych. Iwanowicz długo patrzył na atol przez szkła lornetki, aż w pewnym momencie serce zabiło mu szybciej. Był niemal pewien, że widzi plamę oleju unoszącą się na wodzie. Na dalszym końcu płytkiej laguny, obok prawie niewidocznej rafy, ciemnozielony kształt sterczał nisko ponad wodą. Iwanowicz rozpoznał w nim ogon samolotu. Widać nawet było numery: MAC 502... Reszta znajdowała się pod wodą. Woda była tam zbyt płytka, by mógł na nią wpłynąć tak duży statek. Nieduża łódź rebeliantów płynęła dalej w towarzystwie kilku zwiadowców w małych, nadmuchiwanym pontonach z silnikami. Gdy tak sunęli po płytkich wodach laguny, widzieli wyraźnie, że dno jest wręcz zasypane szczątkami samolotu oraz resztkami ładunku. Pontony rozpierchły się po lagunie w poszukiwaniu czegoś, cc w jakikolwiek sposób przypominać mogło laser. Iwanowicz w skupieniu obserwował działania zwiadowców. Nagle głośny huk zagłuszył warkot silników Iwanowicz opuścił lornetkę i uniósł głowę. Helikoptei amerykańskiej marynarki wojennej! Zbliżał się, jego załoga na pewno ich widziała! Jeden z jego ludzi krzyknął coś do niego, po czym wskazał na horyzont. Iwanowicz spojrział we wskazanym kierunku. Z niedowierzaniem podniósł lornetkę do oczu.

7?/f

Wielki krążownik zbliżał się w ich stronę.

Na jego rozkaz kilku uzbrojonych strażników zbiegło pod pokład. Po paru minutach wrócili na górę, prowadząc na muszce pojmanych komandosów.

— Zabierzcie ich na dziób! Chcę, żeby ich było dobrze widać. Niech ci nowi wiedzą, o co toczy się gra.

Brutalnymi szturchańcami strażnicy zapędzili jeńców na dziób jachtu. Tam ustawili ich rzędem przy burcie, by załoga nadlatującego helikoptera widziała ich jak na dłoni.

Iwanowicz nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Wydał kilka dalszych rozkazów. Załoga na przednim pokładzie odsłoniła duże, obracające się działko i wycelowała je w nadlatujący helikopter.

— Dajcie im ostrzeżenie, chłopcy!

Błysnęło, huknęło i obłok gęstego dymu wbił się w powietrze. Helikopter błyskawicznie zawrócił w stronę okrętu.

— Ha! — zaśmiał się Iwanowicz. — Przekażcie tę wiadomość swoim szefom!

Na U. S. S. „Findley” kapitan i jego oficerowie obserwowali rozwój sytuacji z mostka. Oficer łącznościowy pozostawał w stałym kontakcie radiowym z załogą helikoptera.

— Panie kapitanie — zgłosił — trzy mają ludzi porucznika Adamsa jako zakładników.

Samego porucznika nic widać. Helikopter został ostrzelany i musiał się wycofać.

— Są tam jeszcze jacyś Amerykanie?

— Nie, panie kapitanie, tylko ten sowiecki jacht i kilka małych motorówek należących do rebeliantów.

Kapitan zniknął w małym, mrocznym pomieszczeniu. Siedziało tam już trzech innych ludzi, prawdopodobnie

cywilów. Bardzo uważnie obserwowali wskazania skomplikowanych urządzeń elektronicznych, które wypełniały pomieszczenie od podłogi aż po sufit.

— Proszę zamknąć drzwi — odezwał się jeden z nich. ; Kapitan zamknął drzwi i powiedział cicho:

— Sytuacja w miejscu katastrofy się skomplikowała. Sowieci już tam są, filipińscy rebelianci także. Właśnie przeczesują teren. Trzymają naszych ludzi jako zakładników.

Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie, rozważając znaczenie słów kapitana. Jeden z nich spytał:

— Widzi pan jakieś inne możliwości działania?

— Nasz helikopter został ostrzelany. Jeśli wkroczymy do akcji, może się to skończyć prawdziwą jatką. Poza tym nie można ryzykować życiem zakładników.

— Wie pan, jakie mamy rozkazy? — spytał inny.

— Oczywiście. Możecie przystąpić do ich wykonywania.

Właśnie wtedy zabłysło czerwone światło. Trzej mężczyźni natychmiast skupili całą uwagę na monitorach i wskaźnikach tablicy rozdzielczej.

— Mamy kontakt radiowy z laserem.

Podczas gdy wysoko w górze motorówki cięły wody oceanu, a statki podpływały coraz bliżej, Lila leżała na skrzyni we wnętrzu zatopionej pokrywy pogrążona w głębokim śnie.

Nie obudziła się, gdy na tablicy rozdzielczej tajemniczej maszyny zabłysły dwa bursztynowe światła. Ich jasny blask zmieszał się z czerwoną poświatą innych lampek.

136

Trzej mej.ez.yim przesuwali palcami po rzędach różnokolorowych przycisków. Nie odrywali oczu od monitorów.

— Pozytywny sygnał radiowy.

— Zasób energii dziewięćdziesiąt pięć procent. Starczy do uruchomienia.

— Uzbrojenie w pełni sprawne.

Jeden z nich dojrzał coś, co wydało mu się trochę dziwne.

— Hmm. Ktoś włączył monitory.

— Włączyły się pewnie same pod wpływem uderzenia — wytłumaczył inny.

— Na szczęście nie ma większych szkód. Wszystkie systemy są sprawne.

— W porządku — zdecydował jeden i nacisnął kilka guzików oznaczonych czerwonymi światełkami ostrzegawczymi. — Przygotować do detonacji!

— Ale się Rosjanie zdziwią!

Lila obudziła się nagle. Była półprzytomna. Przez chwilę wydawało jej się, że sen trwa nadal. Jednostajne, głośnie brzęczenie i tykanie wypełniało wnętrze kontenera. Pomarańczowe, czerwone i zielone światełka migotały tajemniczo.

Lila przestraszona i zdziwiona, zeskoczyła ze skrzyni. Nie, nie śniła już. Tajemnicza maszyna ożyła! Światełka migotały w uporządkowanej kolejności. Potem, głęboko we wnętrzu maszyny, rozległo się głośnie, niepokojące buczenie.

137

-----\.

Ocaleni

Dwa czołna z wielką szybkością cięły morskie fale. Wioślarze dawali z siebie wszystko.

Filigranowy poławiacz pereł wskazywał im drogę: cel leżał około pół mili\* od wyspy.

Na dany przez porucznika Adamsa znak, Dave, doktor Cooper oraz Jay zaczęli przygotowywać się do zejścia pod wodę — przypięli butle, założyli maski, wsunęli płetwy.

Adams przywiązał sobie do nadgarstka klucz od pokrywy, gotowy do użycia.

Doktor sprawdził swoją maskę i ustnik, po czym zwrócił się do pani Flaherty:

— Rebelianci nie mogą być daleko stąd. Będzie musiała pani zostać na powierzchni jako obserwator. Podał jej zwój grubej, nylonowej liny. — Wezmę drugi koniec sznura ze sobą. W razie nadchodzącego niebezpieczeństwa, proszę dać mi znać przez szarpnięcie liną, może parę szarpnięć, od jednego do pięciu.

\* mila morska —jednostka długości na szlakach morskich równa 1852m.

138

— Jedno na „zbliżające się niebezpiecz : „na bliskie niebezpieczeństwo”, a pięć na „<i nie może”?

— Mhm... coś w tym rodzaju. Módlmy tko poszło dobrze.

Rebelianci przeczesali lagunę i powrócili masą skrzyń, kanistrów oraz innych interesując! tów. Jak dotąd nie udało im się odnaleźć pokry\ co chwilę spoglądał na potężną sylwetkę U. majaczącą w oddali. Nie był zniecierpliwiony

— Widzicie ten okręt? — krzyczał. — N w końcu przestaną na nich robić wrażenie, leżąc zatopiony kontener i uciec przed nadej||c kanów. Poszerzcie obszar poszukiwań! Szul; południe, poza laguną! Może prąd poniósł czy j tów w tamtą stronę.

Rebelianci skierowali swą łódź z powrót laguny. Za nimi, z głośnym warkotem, pod<|ż Lila nie wiedziała, co robić. Nie miała też r. o ta dziwna maszyna. Buczała teraz i migotała ;l kami, a nawet poruszała głową. Czy ją widii robotowi w oko, lecz nie doczekała się żadne Przyszło jej na myśl, że ktoś może stei 3 z zewnątrz. Pewnie, sterowanie radiów:! uważnie przyjrzała się tablicy rozdzielcze . ukazywały się na cyfrowych wyświetlacza;: tełka migotały, lecz wszystko to nic dla ni< j Czy to coś mogło przekazywać dźwięki?

— Halo? — zawołała. — Słyszysz mri

Nie było odpowiedzi. Buczenie i tykani bez zmian.

139

Kolo krzyknął i wskazał w dół. To było to JDJej.sce. Wioślarze zatrzymali czółna.

— Gotowi! — krzyknął Adams. Czterej mężczyźni założyli maski i przygotowali ustniki. Adams dał znak, odchylił się do tyłu i wskoczył do wody. Za nim podążył Dave, a potem Jay. Doktor Cooper poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń.

— Niech Bóg będzie z tobą, Jake — powiedziała pani Flaherty.

Doktor patrzył na nią przez chwilę, uśmiechnął się i odparł:

— Dziękuję, Margaret. — Sposób, w jaki to powiedział, świadczył, że dziękuje jej za coś więcej niż tylko te krótkie słowa otuchy. Włożył końcówkę rurki od butli tlenowej do ust i zsunął się za burtę.

Kolo wziął kilka głębokich wdechów, po czym wskoczył do wody. Silnymi ruchami ramion i nóg schodził coraz niżej w głąb oceanu.

Czterej płetwonurkowie ruszyli za nim, wzbijając chmurę białych bąbelków w ciepłej błękitnej wodzie. Około trzydziestu metrów pod sobą widzieli dno, zapierający dech w piersiach krajobraz pełen fantazyjnie powykręcanych koralowców i ławic błyszczących ryb. Kolo poczuł, że dalej płynąć już nie ma siły. Zatrzymał się, odwrócił i pokazał im dalszą drogę. Z jego gestów wynikało, że kontener znajduje się tuż za załomem rafy. Pomachał im na pożegnanie i ruszył ku powierzchni.

Wszyscy czterej wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dręczyło ich to samo podejrzenie, czy aby Kolo nie próbuje ich oszukać. Teraz nie było już jednak innego wyjścia. Popłynęli dalej. Doktor Cooper ciągnął za sobą nylonową linę.

140

Pani Flaherty pozwoliła zwojowi swobodnie się rozwijać, mając tylko nadzieję, że długość liny jest wystarczająca.

Nagle jeden z tubylców krzyknął i wskazał na coś w oddali.

Rebelianci! Natychmiast rozpoznała tę ich rozklekotaną łódź. Było jasne, że szukają kontenera. Pani Flaherty położyła się na dnie czółna w nadziei, że nie zostanie zauważona.

Mieszkańcy wyspy wiedzieli, jak należy się zachować; zaczęli udawać, że łowią ryby, mimo że nie mieli ze sobą sieci.

Rebelianci i tak byli podejrzliwi. Obecność dwóch łodzi w takim miejscu od razu wydała im się co najmniej dziwna. Natychmiast skierowali się w ich stronę.

Widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, pani Flaherty szarpnęła za linę.

Trzej mężczyźni na pokładzie „Findleya” utrzymywali łączność radiową z laserem.

— Jakież zmiany? — zwrócił się jeden z nich do kapitana.  
— Nie — odparł kapitan. — Trzymają nas na odległość. Nie wiemy, czy już znaleźli laser, czy nie...

Nagle z mostka kapitańskiego dobiegł krzyk.

— Kapitanie! Koncentrują się na obszarze na południe od jachtu. Wygląda na to, że coś znaleźli. Są tam też dwie łodzie tubylców. Pewnie miejscowi im pomagają.

Trzej mężczyźni dokładnie przyjrzeni się wskazaniom instrumentów.

— Proszę nas na bieżąco informować. Możemy to wysadzić w każdej chwili.

Lila była zrozpaczona. Musiał być przecież jakiś sposób, by nawiązać kontakt z tym, kto sterował maszyną.

141

Jeszcze raz przyjrzała się desce rozdzielczej. Próbow& sobie przypomnieć, co naciskała poprzednim razem. Ocl tak! Przycisk „Aktywacja” oraz dzwignia, która poruszał głowę. Może uda jej się spowodować jakiś ruch maszyn; widoczny na monitorze nieznanego operatora.

Nacisnęła guzik z napisem „Aktywacja”.

Ogłuszający pisk! Jasny snop czerwonego światła! Lii; odskoczyła, przestraszona! Oko robota nie było wcale okiem lecz potężnym laserem! Wnętrze kontenera wypełniło się czerwoną poświatą. Iskry rozpryskiwały się we wszystkich kierunkach, powietrze było ciężkie od dymu i pary.

Czerwony, błyszczący promień oślepił czterech pływaczy. Pojawił się nagle, jak błyskawica na bezchmurnym niebie, i niczym rubinowa włócznia wystrzelił ku powierzchni opatulony długim, białym szalem morskiej wody w mgnieniu oka zamienionej w parę.

Woda wlewała się do środka! Laser wyciął dziurę w powłoce kontenera!

Lila doskoczyła do maszyny i jeszcze raz nacisnęła ten sam przycisk. Laser przestał działać. Za późno! Woda wlewała się do środka przez wypaloną w suficie dziurę wielkości bochenka chleba. Silny strumień zalewał wnętrze stalowego kontenera.

Oficerowie na mostku „Findleya” nie dowierzali własnym oczom.

— Uuu! Widzieliście to?

Trzej mężczyźni w ciasnym pomieszczeniu z zaskoczeniem spoglądali na wskazania instrumentów.

— Laser wypalił!

Starali się odnaleźć przyczynę.

— Błąd w układzie aktywacji lasera — orzekł jeden.

— Potrafisz to naprawić? — spytał drugi.

142

Pierwszy przesunął palcem po rzędzie przycisków.

— Nie widzę tu żadnego błędu. Tak jakby laser otrzymywał polecenia od kogoś jeszcze poza nami.

— Niemożliwe! Lepiej przygotujcie się do detonacji.

— Panie, ratuj nas!

Pani Flaherty trzy razy szarpnęła za linę. Rebelianci I byli już blisko. Wielki, biały jacht opłynął wyspę i zbliżał się z dużą szybkością.

Doktor Cooper poczuł szarpnięcia i sam szarpnął liną dla potwierdzenia. Nie mogło być jednak mowy o powrocie. W dole, za załomem rafy, leżał kontener. Wyglądał jak przekrzywiona na bok ogromna butelka. Ze świeżo wypalanej dziury wydobywały się bąbelki uciekającego powietrza. Adams podpłynął do spodu kontenera, by sprawdzić, co stało się z włazem.

Wypełniona po brzegi rebeliantami Łódź podpłynęła w końcu tak blisko, że pani Flaherty została zauważona. Na widok Amerykanki rebelianci zaczęli wściekle krzyczeć i wymachiwać karabinami. Łódź zakreśliła koło, wzbijając przy tym falę tak dużą, że groziła ona wywróceniem czołen. Także pontony zbliżały się już na miejsce wraz z kolejną hordą wściekłych wrogów. Pani Flaherty szarpnęła pięć razy.

Bum! Coś wpadło do czołna. Granat!

Z głośnym okrzykiem ostrzeżenia pani Flaherty rzuciła się do wody. Miejscowi wioślarze natychmiast podążyli w jej ślady.

Granat eksplodował! W powietrze wzniósł się wysoki słup wody i szczątków czołna. Siła wybuchu odebrała wioślarzom przytomność.

Pani Flaherty czuła się jak znokautowana. Naprzemian traciła i odyskiwała świadomość, w głowie jej się kręciło

143

i czuła dół w uszach. Próbowwała wyplynać na powierzchnię, lecz nie potrafiła się nawet zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Wreszcie udało jej się wystawić głowę na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Usłyszała strzały; kule trafiły w wodę zaledwie centymetry od niej. Zanurkowała. Widziała, jak wokół niej kule tną morską toń, wzbijając sznury bąbelków. Spojrzała w dół w poszukiwaniu płetwonurków, lecz nie dostrzegła żadnego z nich.

— Cała naprzód! — krzyknął Iwanowicz załodze jachtu. Wielki, biały dziób ciął błękitną wodę niczym ostrze noża. Dokładnie na wprost znajdowała się podwodna kryjówka kontenera.

Doktor Cooper i jego przyjaciele usłyszeli nad sobą głośny, rozciągnięty w czasie plusk. Podnieśli głowy i ujrzeli, jak kilkunastu płetwonurków wskakuje do wody. Kilku trzymało w rękach palniki do cięcia metalu. Wielu miało noże. Byli gotowi do walki.

Wielkie, silne ramiona chwyciły panią Flaherty od tyłu! Kopała i szamotała się, lecz nie przynosiło to nawet najmniejszego efektu. Ubrany w strój płetwonurka rebeliant ścigał ją w dół i wymachiwał jej przed oczami nożem. Poddała się. Uniosła nawet ręce, by nie było co do tego wątpliwości. Wcisnął jej swój ustnik między zęby. Wzięła kilka oddechów i oddała mu ustnik. Pokiwał głową z aprobatą dla jej mądrego zachowania.

Inny płetwonurek podał jej zapasową butlę. Zaczęła oddychać. Potem wzięli ją ze sobą jako jeńca w głąb morskiej otchłani.

Lila znajdowała się po pas w wodzie. Za parę minut kontener wypełni się wodą po sufit. Nie mając nic do stracenia, dziewczynka podjęła desperacką decyzję.

144

Chwyciła własnoręcznie wykonane „koło ratunkowe”, czyli torbę pełną styropianu i dokładnie zapięła paski butli. Mocno przycisnęła maskę do twarzy. Następnie wyszeptła kilka słów modlitwy i popłynęła ku tablicy rozdzielczej.

Wielki jacht znalazł się dokładnie ponad miejscem, w którym spoczywał kontener. Sternik zatrzymał silniki, podczas gdy Iwanowicz przyglądał się z dziobu statku, jak miejscowi wioślarze uciekają w ocalałym czołnie wśród gradu rebelianckich kul. Bardzo dobrze. Teraz zostali już tylko ci Amerykanie pod wodą, ale i nimi zajmą się wkrótce płetwonurkowie.

\*\*!—^CgZ^

Adams i Dave, gotowi do walki, wyciągnęli noże. Nagle jednak doktor Cooper spostrzegł, że dwaj rebelianci ciągną ze sobą panią Flaherty. Jeden trzymał nóż przystawiony do jej gardła. Amerykanie zamarli w bezruchu. Ruchem ręki rebeliant z nożem kazał im odplynać od kontenera.

Lila położyła dłoń na dźwigni. Jeszcze raz nacisnęła przycisk „Aktywacja”.

Czerwony snop światła wystrzelił w górę niczym szkarłatna błyskawica!

Jasny promień lasera przeciął wodę niczym rozgrzany do czerwoności nóż. Płetwonurkowie z fascynacją i lękiem patrzyli na to niezwykle widowisko.

~\*~

Korzystając z chwilowej nieuwagi porywaczy, pani Flaherty zerwała jednemu z nich maskę z twarzy. By

/45

odzyskać ów cenny przedmiot rebeliant musiał uwolnić kobietę z uścisku, a wtedy ona błyskawicznym ruchem rozpięła mu pas z ohciążnikami. Biedny napastnik poszybował w górę, bezradnie machając rękami.

Drugi mężczyzna wciąż trzymał ją za ramię i groził nożem. Wprawdzie z trudem, ale zdołała go złapać za nadgarstek i sprytnie wykręcić rękę. Teraz ona przejęła inicjatywę.

Jasne światło raziło Lilę w oczy. Poruszyła dźwignią. Głowa robota zaczęła się obracać.

Promień lasera ciął ścianę kontenera jak potężny palnik. Woda lała się mocnym strumieniem przez powiększającą się szparę.

W chwilę później już tylko głowa wystawała jej ponad wodę.

Rebelianci wycofali się. Część poszukała schronienia za rafą i skałami. Adams i Dave położyli się na dnie i obserwowali ruchy niszczycielskiego promienia.

Wtem dostrzegli, jak pani Flaherty szamocze się z jednym z rebeliantów. Dwie splecione, rozedrgane, pochłonięte walką sylwetki znajdowały się dokładnie na drodze lasera.

Iwanowicz usłyszał najpierw krzyki ludzi, a dopiero później ujrzał promień. Nagle, tuż za lewą burtą, szkarłatna

146

lanca światła wystrzeliła z wody i rosła, rosła wysoko w górę, aż do samego nieba. Kilka chmur rozplynęło się bez śladu pod dotykiem straszliwego ostrza.

Lila starała się utrzymać głowę na powierzchni. Ani na chwilę nie przestała poruszać dźwignią. Prowadzony jej ręką laser ciął powłokę kontenera wzdłuż jej długości.

Trzej mężczyźni na pokładzie „Findleya” wiedzieli, co się stało.

— Laser wystrzelił! Przerwać jego działanie!

— Nie mogę! Nie reaguje na komendy radiowe!

— Błąd w systemie sterowania ręcznego.

— Detonować!

Jeden z mężczyzn włączył jakiś guzik i przekręcił kluczyk. — Procedura samozniszczenia rozpoczęta! Detonacja za sześćdziesiąt sekund.

Doktor Cooper w ostatnim momencie zdołał dopłynąć do pani Flaherty i zepchnąć zarówno ją jak i napastnika z drogi zabójczego promienia. Tuż obok zabulgotała woda. Mężczyzna uwolnił się z uchwytu pani Flaherty, lecz teraz miał przed sobą doktora Coopera. Doktor nie zwykł przegrywać.

147

Ludzie Iwanowicza wzniesli straszliwy rwetes. Po chwili i on zrozumiał ze zgrozą, że promień lasera przesuwają się dokładnie w kierunku jego jachtu! Ile sił w płucach krzyknął do sternika, by dał całą wstecz i wielki jacht zaczął się powoli cofać.

Z niespodziewanie wielką siłą doktor Cooper wykręcił napastnikowi rękę. Nóż spadł na morskie dno. Mężczyzna cofnął się i machając dłonią prosił o łaskę. Miał już dosyć. Doktor Cooper pozwolił mu odpłynąć, sam zaś zajął się panią Flaherty. Na szczęście nic jej się nie stało. W geście wdzięczności chwyciła go za rękę.

Woda przykryła Lilę po czubek głowy. Woda nagrzewała się gwałtownie. Jeszcze moment i dziewczynce groziło ugotowanie. Wycięcie było prawie gotowe.

Niczym gigantyczna brzytwa, promień lasera przeciął najpierw dach, oba pokłady i dno jachtu. Wybuchł pożar. Kłęby dymu wydostawały się z wnętrza statku. Dwie połówki jachtu

odłączyły się od siebie i zapadły do środka, niczym pęknięta skorupka jajka. Ogarnięta paniką załoga skakała do wody.

148

Strażnicy pilnujący ludzi porucznika Adamsa nagle zapomnieli o swoich obowiązkach. Komandosi wykorzystali to natychmiast. Szybko powalili swoich strażników na ziemię i odebrali im broń. Rebelianci nie mieli jednak ochoty do walki i gdy tylko Amerykanie pozwolili im wstać, przerażeni rzucili się za burtę.

Iwanowicz walczył o życie. Kurczowo chwycił się burty na dziobie statku i próbował utrzymać się na przechylonym pokładzie tonącego jachtu. Trzej komandosi pospieszyli mu z „pomocą” biorąc go jako jeńca.

Lilą poczuła straszliwy wstrząs i usłyszała głośny, metaliczny zgrzyt. Poprzez zasłonę z bąbelków powietrza ujrzała nad sobą niebieskawe światło.

Chciała wziąć głęboki oddech, lecz w płucach poczuła tylko pustkę! Tlen się skończył! — Detonacja za trzydzieści sekund — informował kapitana jeden z operatorów na pokładzie „Findleya”.

Dave i Adams zmagali się z czterema filipińskimi rebeliantami. Adams rozbroił jednego z nich i posłał go na powierzchnię. Zły Dave zdołał zderzyć ze sobą dwóch następnych i uspokoić ich w ten sposób na jakiś czas.

Wtedy właśnie usłyszeli głośny, metaliczny dźwięk i ujrzeni, jak precyzyjnie odcięta górna część kontenera

149

osuwają się na bok w chmurze bąbelków. Promień lasera zniknął, a oczom zaskoczonych pletwonurków ukazała się mała postać — drobna istota o złocistych włosach, która odrzuciwszy na bok zużytą butlę, zaczęła gwałtownie machać rękami i nogami, by jak najszybciej znaleźć się na powierzchni.

Okrzyk radości chciał wyrwać się z piersi Jaya. Chłopiec natychmiast ruszył w stronę siostry, a doktor Cooper i pani Flaherty podążyli tuż za nim.

Adams uznał, że akcja skończona. Dał znak Dave'owi i obaj popłynęli ku powierzchni, zostawiając pokrywę rebeliantom.

Zadowoleni z siebie buntownicy obiegli pokrywę niczym muchy plaster miodu.

Lila słabła; jej ruchy stawały się coraz wolniejsze. Jay podpłynął do siostry, złapał ją za ramię i podał jej swój ustnik od butli tlenowej. Zaczęła oddychać. Była półprzytomna, nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Doktor Cooper zbliżył się do obojga dzieci. Dzielił się z Jayem tlenem ze swej butli, gdy szybko płynęli do góry.

Komandosi zeszli z pokładu tonącego jachtu do szalupy. Wiosłowali z dużą wprawą i siłą, toteż w porę oddalili się od tonącego statku. Dwie połowy wielkiego kadłuba zniknęły w morskich falach.

Doktor Cooper, Jay oraz pani Flaherty ostrożnie zbliżali się z Lilą do powierzchni. Ledwie jednak zdążyli wynurzyć głowy, a już kilka silnych ramion pochwyciło

150

ich z góry i zaczęło ciągnąć. Chcieli walczyć, ale to był na szczęście Jeny Garrison.'

— Szybko, włączcie do czółna, zanim to wszystko wybuchnie!

Wokół aż roilo się od tubylców. Porucznik Adams i Dave siedzieli już bezpiecznie w łódce.

Wyspiarze wciągnęli doktora Coopera do jednego czółna, a panią Flaherty do drugiego. Jay i Lila znaleźli się w jeszcze innym.

Nagle z oceanu wyrosła wielka góra spienionej wody! Potężna fala przewaliła się ponad czółnami. Wiosłarze z trudem uratowali łódzie przed wywróceniem. Ocean huczał i grzmiał.



Odłamki skał i rafy koralowej, błoto i ryby, wszystko to wypłynęło gwałtownie na powierzchnię wraz ze spienionym słupem wody. Silne fale wściekle waliły o brzeg wyspy.

— Oto jak skończyli poszukiwacze lasera — powiedział porucznik Adams.

— Kapitanie! Z helikoptera donoszą, że nasi ludzie są bezpieczni! Zauważyli też Adamsa w łodzi tubylców razem z jakimiś cywilami!

— Dobra. Chodźmy ich stamtąd zabrać.

Ocean wreszcie się uspokoił. Teraz z kolei nastąpiło poruszenie na niebie: helikopter z „Findleya” wrócił na miejsce dramatycznych wydarzeń. Załamani, pokonani rebelianci — a raczej ich resztki — uciekli na swej łodzi wraz z ludźmi w pontonach. Miejscowi wojownicy z ple-

151

mienia Sutolo pomogli porucznikowi Adamsowi i jego ludziom zebrać filipińskich niedobitków z zatopionego jachtu.

Adams podprowadził swe czółno do łódki, w której była Lila. Leżała zwinięta z bólu, w półprzytomnym otępieniu.

— Doktorze, dziewczynka ma bóle stawów z powodu zbyt szybkiej dekompresji\*. Musimy zabrać ją na pokład „Findleya”.

Adams stanął w łódce i zaczął wymachiwać rękami. Z helikoptera opuszczono specjalne nosze, w które delikatnie włożono Lilę. Doktor Cooper pocałował ją w czoło, a potem pozwolił, by helikopter zabrał ją ze sobą wysoko w górę.

— To cud, że znaleźliśmy ją żywą! — powiedział doktor, do którego dopiero teraz dotarło, że to rzeczywiście prawda.

— Nawet pan nie wie, jak wielki cud! — odparł Adams. — Widziałem butlę, którą miała. Oddychała z niej przez pięć dni, podczas gdy normalnie taka butla starcza na dziesięć minut! Obserwowali, jak załoga helikoptera ostrożnie wciąga bezwładną Lilę na pokład, by odlecieć z nią w stronę amerykańskiego krążownika U. S. S. „Findley”.

Adams pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Bóg nad panem czuwa, doktorze Cooper. Myślę, że z pańską córką wszystko będzie dobrze.

\* dekompresja — zmniejszenie ciśnienia działającego na nurka przy jego wychodzeniu z zanurzenia

152

^ Znaczący V, ^ podarunek J

Wielki samolot pasażerski wzbił się w powietrze z rykiem potężnych silników.

Międzynarodowy Port Lotniczy w Tokio tętnił życiem. Ludzie roili się niczym pszczoły w ulu, tłum mieszał się, pędził we wszystkich kierunkach, falował. W pewnej chwili przez megafony podano komunikat następującej treści:

— United Airlines, lot nr 203, bezpośredni do Seattle-Tacoma, kończy odprawę pasażerów. Wszystkie osoby posiadające bilety na ten lot powinny znajdować się już na pokładzie. Dziękuję.

Komunikat został powtórzony w języku japońskim, lecz już jego wersja angielska wystarczyła, by trójka ludzi zerwała się na równe nogi i biegiem pognęła do odprawy. Był to oczywiście Doktor Cooper, z walizką w jednej ręce i gazetą w drugiej, oraz jego dzieci: Jay, jak zwykle w dobrej formie, oraz Lila, znów taka jak dawniej, radosna i uśmiechnięta.

— Co się stało z naszym poprzednim lotem? — spytał w biegu Jay.

153

— Odwołali jjo w ostatniej chwili — odparł doktor. — Z trudem udało mi się załatwić jakieś miejsca w tym sa-moJocie. Jeśli nie zdążymy, to trzeba będzie czekać aż do drugiej rano.

— Dalej, dalej! — pośpieszała Lila.

W głównej hali lotniska, atrakcyjna, dobrze ubrana kobieta rozglądała się we wszystkie strony, nie mogąc odnaleźć w tłumie pewnej znajomej twarzy. Przemierzyła wszczeg i wzdłuż całą salę, aż w końcu podeszła do monitora informacyjnego, na którym sprawdziła rozkład lotów United Airlines.

— O Boże, pomóż mi! — krzyknęła i zaczęła przepychać się przez tłum ludzi w stronę stanowiska, z którego już za chwilę, za moment miał odlecieć pewien samolot.

Gdy dotarła na miejsce, poczekalnia była pusta. Stewardesa obsługi naziemnej zamykała właśnie furtkę pomostu prowadzącego na pokład.

— Przepraszam... czy pasażerowie są już na pokładzie?

— Ma pani bilet, proszę pani?

— Och, nie... nie...

— Jak mogę pani pomóc?

— To był... hmm... dziękuję pani, już nic. — Wycofała się. — Ja tylko... ja tylko chciałam się z kimś pożegnać.

— Och, tak mi przykro, chyba się pani spóźniła. Stewardesa zajęła się swoimi sprawami. Pani Flaherty podeszła do wielkiego okna i przyglądała się, jak wielki boeing oddala się od terminalu. Nie mogła oderwać wzroku od potężnego kadłuba samolotu. Wydawało jej się nawet, że w jednym z okienek widzi znajomą twarz. Była jednak zbyt daleko, by z całą pewnością stwierdzić, że była to twarz tego właśnie mężczyzny.

154

— Ach, Jake, Jake — powiedziała cicho. — Już cię tu nie ma, a tak wiele chciałam ci powiedzieć...

Na pokładzie boeinga stewardesa pokazywała pasażerom, jak zapiąć pasy, gdzie znajdują się wyjścia awaryjne oraz jak używać butli z tlenem.

Lila nachyliła się do ojca i wyszeptowała to, co już tak wiele razy zdążyła powtórzyć w ciągu ostatnich paru dni:

— Kocham cię, tato. Czule uściskał jej dłoń.

— Ja też ciebie kocham. Bardzo.

— Przepraszam cię za wszystko. Zaśmiał się cicho.

— Ja ciebie też. Chyba już wszystko zdążyliśmy sobie wyjaśnić.

— Jest mi z tym dużo lepiej.

— Mnie też — odparł z uśmiechem doktor. — Chyba zgodzisz się, że oboje trochę się ostatnio zmieniliśmy.

Jay wtrącił w zamyśleniu:

— Szkoda, że nie udało nam się zjeść lunchu z panią Flaherty. Mam nadzieję, że nie poczuła się urażona.

— A, synu, myślę, że udało mi się to wyjaśnić, ku jej zadowoleniu.

Jay i Lila zauważyli dziwny, figlarny uśmiech na ustach ojca.

— Pani Flaherty? — rozległ się głos za jej plecami. Odwróciła się. Był to pułkownik Griffith.

155

— uca, dziea doory, Waham.

— Pierwszy lot został odwołany — powiedział z żalem Gíffith.

— Właśnie zdążyłam się o tym dowiedzieć.

— Udało ci się w ogóle z nimi spotkać? Próbowała się uśmiechnąć, lecz trudno jej było ukryć rozczarowanie.

— Nie. Nie było na to czasu. Nie było też czasu na umówiony lunch.

— Tak mi przykro. Chyba wiele razem przeżyliście. Byłoby miło pożegnać się jak należy.

— Ach... zdaje się, że świat jest zbyt duży i zbyt dużo się na nim dzieje. Dlatego Jake jest w ciągłym ruchu.

— Słuchaj... — Pułkownik Griffith podał jej mały pakunek.  
— Kiedy Jake zorientował się, że nie zdążycie się spotkać, dał mi to, żebym ci przekazał. Wzięła zawiniątko; nie wiedziała, co powiedzieć.

— Śmiało, otwórz to.

Zdjęła kolorowe opakowanie z małego, drewnianego pudełka.

Jay nigdy przedtem nie widział takiego uśmiechu na twarzy swego ojca, toteż ciekawość zawładnęła nim bez reszty.

— Hej, tato, o czym myślisz?

— Och... tak sobie myślę.

Jay postanowił rozwinąć nieco temat.

— Bardzo polubiłem panią Flaherty. A ty co o niej sądzisz?

— Niezwykła kobieta... całkiem wyjątkowa kobieta... myślę, że wasza mama bardzo by ją lubiła. Zresztą pod wielo-

156

ma względami przypomina waszą mamę; ma twardy charakter i silną wolę. Zawsze podziwiałem to u Katherine.

Lila była wstrząśnięta słowami ojca. Musiała się kontrolować, by nie wlepić w niego zdziwionych oczu.

Pani Flaherty otworzyła wieczko pudełka. Pułkownik Griffith zobaczył, co jest w środku.

— Co do...?

Pani Flaherty wybuchnęła głośnym śmiechem, po czym wyjęła z pudełka małe plastikowe jajko.

— Jajko-zabawka? — zapytał Griffith.

— Och, można by rzec, że kryje się za tym pewna historia.

Rozkręciła obie połówki jajka i otworzyła je. Z uśmiechem szczęścia na twarzy wyjęła ze środka małe papierowe serce.

Pułkownik Griffith śmiał się razem z nią, w końcu jednak przyznał:

— Nic z tego nie rozumiem.

Pani Flaherty pochłonięta była jednak lekturą kartki, która razem z jajkiem znajdowała się w pudełku:

„Do Pani Margaret Flaherty:

Niecierpliwy czas znów postąpił z nami wedle własnej woli. Mam jednak nadzieję, że ten mały podarunek wszystko wytłumaczy. Na razie przychodzi nam się rozstać. Nie opuszcza mnie jednak wiara, że ścieżki naszego życia już niedługo spotkają się gdzieś w szerokim świecie za sprawą łaskawej i wszechmogącej ręki Boga. Z niecierpliwością czekam na tę chwilę. Pamiętający, Jake R. Cooper.”

Huk startującego samolotu zatrzęsł szybami w hali. Pani Flaherty spojrzała w górę. Boeing 747 wznosił się ku niebu w drodze do odległego domu.

157

ófmiecdnęfh się {pomachała, dłonią.

— Dziękuję ci, Jake 'u Cooperze. Teraz wszystko jest już jasne.

Postanowiła wyjaśnić zajście zdezorientowanemu pułkownikowi.

— Jake to inteligentny człowiek, Williamie. Wie, co i jak powiedzieć, by rozumiała go tylko ta osoba, do której skierowane są słowa. Widzisz? Jego serce było kiedyś zamknięte w skorupie. Potem jednak ja ją otworzyłam, o tak. Teraz jego serce jest wolne i...

Griffith uśmiechnął się i zgadł.

— I Jake dał je tobie?

Nieświadomie przycisnęła paczuszkę do serca.

— William... czy mam prawo tak myśleć?

Samolot osiągnął właściwą wysokość i wyrównał lot. Wszyscy odpięli pasy i wygodniej usadowili się w fotelach.

Lila tak długo milczała, że w końcu doktor spytał:

— Wszystko w porządku?

Spojrzała na niego strapiiona, jakby bała się to powiedzieć:

— Nigdy przedtem nie rozmawiałeś z nami o mamie. Delikatnie dotknął jej policzka i długo na nią patrzył.

Potem, z jakimś nowym błyskiem w oku, odparł:

— No to porozmawiajmy.

I rozmawiali, wszyscy troje, przez długie godziny. Daleko pod nimi połyskiwały wody Pacyfiku. Wracali do domu.

—

|                          |     |
|--------------------------|-----|
| Spis treści S            | f*  |
| Porwanie.....            | 7   |
| Katastrofa.....          | 21  |
| Gdzie jest Lila?.....    | 34  |
| Klejnot Pacyfiku.....    | 46  |
| Niezwykły zakład.....    | 56  |
| Utracona nadzieja.....   | 70  |
| Pościg.....              | 81  |
| W potrzasku .....        | 92  |
| Wybawienie .....         | 103 |
| Ważna rozmowa.....       | 113 |
| Historia Jonasza.....    | 126 |
| Ocaleni .....            | 138 |
| Znaczący podarunek ..... | 153 |